MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 18 WARSZAWA, 26 KWIETNIA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

GDYBY KILIŃSKI ŻYŁ

CZYTAŁEM niedawno o pewnem miasteczku na Mazowszu, które miało w XV wieku kilkadziesiąt (!) kwitnących cechów, a dziś ma trzy czwarte mieszkańców żydów, kilka konających cechów polsko-żydowskich, Strzelca i Związek Rezerwistów. Z powyższego zestawienia wynika jasno, że żyjemy w epoce „postępu", i że „obskurantyzm" kończącego się średniowiecza, nie znający jeszcze na wsi pańszczyzny, a znaczny w mieście rozkwitem rzemiosła, został już szczęśliwie daleko poza nami. Słusznie też uchodzą za antypaństwowe dzienniki, w których to lub inne miasteczko woła o polskiego czapnika czy polskiego zegarmistrza. Te wołania, to poprostu jakby średniowieczna czkawka. W „mocarstwowem" państwie—odbijają się jeszcze wspomnienia narodu z czasów, gdy jadał suto i porastał w jagiellońskie, naprawdę orle pierze. Ale dziękować Jehowie—głosy te niebawem ucichną. Mędrcy Syjonu i o rzemiośle nie zapomnieli...

Żart na stronę. W chwili typowego przedwiośnia które dziś przeżywa Polska, między podmuchami lodowatego wiatru od Wschodu i ciepłemi promieniami wschodzącego narodowego słońca, zebrał się w Warszawie Ogólno-Polski Zjazd Rzemiosła. Wprawdzie zabrakło na tym zjeździe żywego Kilińskiego, któryby porwał rzemieślników do walki przeciw temu, co obecnie z nimi wyczyniają, a śpiżowy Kiliński nie mógł protestować, gdy przygodni mówcy robili z niego prekursora obecnego systemu. Ale niezawodnie wśród zebranych delegatów znalazł się niejeden, serdecznie do swego fachu przywiązany, Polak z krwi i wiary, który zrobił rachunek swego rzemieślniczego sumienia i uprzytomnił sobie jasno, czy wielkość Polski leży w zaniku, czy w rozkwicie polskiego rzemiosła? I uprzytomnił sobie również do czego o n i prowadzą polskie rzemiosło?

Czego chcą o n i? Wychowankowie Rewolucji francuskiej, która zaraz w pierwszym roku, zaraz na sam początek rozwaliła rzemiosło... Do czego dążą o n i, wychowankowie marksizmu, którym się marzy tylko maszyna na sto tysięcy koni, tylko fabryka, tylko niewolniczo uszeregowane masy, tylko bezwłasny i bezwolny proletarjat, tylko „kołchoz", tylko anonimowa władza i anonimowy tłum? O czem roją o n i, wychowankowie lóż?

Dużo pod pomnikiem Kilińskiego padło frazesów. Stan trzeci? Dlaczego trzeci? Zapomniałem sobie. Może kolega pamięta? Dziadek dyrektorowi opowiadał? Bo to trzeba sięgać pamięcią XVIII jeszcze wieku? Stan trzeci, to coś jak trzecia klasa na kolei, kto poniżej, ten już na piechotę, kto powyżej ma bilet wolnej jazdy albo zniżkę? Co prezes raczył zauważyć? Mieszczaństwo? *Pardon,* nie rozumiem, jak się to tłumaczy po francusku? *Bourgeoisie?* Burżuazja? Pamiętam, to mi jeszcze ojciec o tem opowiadał. Nie lubię. Nie lubimy burżuazji, szykujemy na nią rewolucję. Ani grubej burżuazji, ani drobnej. Kiliński nie był burżujem. Burżujów nie widuje się na czele powstań.

Czego m y chcemy? Chcemy zapomnieć o wieku XVIII, bo nas straszy, i o wieku XIX, bo nas mierzi. Chcemy wieku dwudziestego, ale *made in Poland.* Chcemy, by motory i maszyny przestały przerastać i sadowić się po halach fabrycznych, ale by nabrały ludzkich roz-

miarów i zabłądziły pod dachy rzemieślnicze. Chcemy, by postęp techniczny przestał nabijać kieszenie generalnych dyrektorów, a zaczął napełniać żołądki ogółu. Chcemy, by robotnik fabryczny zazdrościł rzemieślnikowi jego dobrobytu i samodzielności, i by dążył do utworzenia własnego warsztatu, inaczej niż obecnie, gdy większość zgłodniałych rzemieślników marzy tylko o tem, jakby się dostać za wysoką protekcją na „tygodniówkę" do fabryki. Chcemy, by rzemieślnik stał się wytwórcą w nowoczesnem znaczeniu tego słowa. Chcemy, by powstał cały szereg nowych działów rękodzieła.

W miejsce pokracznych kolosów wielkoprzemysłowych niechże powstaną korporacje prządzalników, tkaczy, pończoszników, cukrowarów, monterów, ceramików, rękawiczników, krawaciarzy... Niechże sobie potworzą swoje spółdzielnie surowcowe, maszynowe, kredytowe, niechże sobie wywalczą, by P. K. O. i B. G. K. nietylko brały ich oszczędności, ale i pożyczały im czasem ochłap tego, co pożyczają byle żydowskiej lub państwowej fabryce... Czy wiecie, ile B. G. K. rozpożyczył pieniędzy? Dwa miljardy. Czy wiecie, ile z tego dostało rzemiosło? Siedem i pół miljona. Sześć razy więcej, niż całe polskie rzemiosło, dostała firma Scheiblera i Grohmana. Czterdzieści sześć miljonów dostała. Rzemiosło oddaje i odda, a Scheibler i Grohman nie oddadzą...

Chcemy dźwignąć chałupników i drobnych wytwórców do godności rzemiosła, a wszystkich razem do godności Polaków. Chcemy, by stan drobnych wytwórców, stan w najszlachetniejszem, a zarazem nowoczesnem tego słowa znaczeniu rękodzielniczy, stał się jednym z filarów Rzeczyposolitej i jej gospodarki. Chcemy...

Zaś ale ciekawe, dlaczego mieszkańcy Trzemeszna, rodzinnego grodu Kilińskiego, prawie wszyscy są narodowcami?

ADAM DOBOSZYŃSKI

NARÓD HISTORYCZNY

PRZYPUSZCZAM, że dla znakomitej większości osób wyrażenie naród historyczny jest całkowicie jasne i zrozumiałe. Znaczy ono poprostu: naród mający swoją historję, — a to stwierdzenie bynajmniej nie jest truizmem, bo jednak nie każdy naród ma historję i narody nie są tu jednakie. Jak zaś wielkie są te różnice i jak w całej swojej rozmaitości wyraźne, jasno widać na przykładach i wydaje mi się właściwe zacząć od nich, bo one dopiero umożliwią głębszą analizę tej treści, jaką pojęcie historyczności narodu zawiera. A że znowu typ narodu niehistorycznego i historycznego jest wyraźny i że jeden przykład starczy za wszystkie, więc biorę też po jednym dla każdego — przyczem oba z naszego świata i naszego pobliża. Pierwszy to Łotwa, drugi — Węgry.

NARÓD NIEHISTORYCZNY

Łotwa, a raczej Łotysze nie mają historji i gdy inne narody Europy budowały gmach wspólnej kultury, od gotyku aż po barok, ten mały nadbałtycki ludek nie brał w tem żadnego udziału. Wprawdzie Inflanty miały swoją historję i Rygę założono już w 1201 roku, ale ta historja i ta kultura jaka się rozwijała na tych ziemiach, to było dzieło niemieckich rycerzy i baronów. Zakon mieczowy, a później księstwo kurlandzkie nie miały nigdy łotewskiego narodowego charakteru i były dla Europy tylko najdalszą wschodnią cząsteczką Niemiec.

I Łotysze dopiero wtedy objawili się światu, gdy przejęty ideałami oświecenia niemiecki pastorowicz Merkel zwrócił na nich uwagę, książeczką drukowaną w Lipsku (1796). Ta książeczka, to pierwsza data historyczna narodu łotewskiego.

Raz przebudzeni, weszli już na stałe w społeczność prawdziwych narodów, coprawda bez historji wojenno-dyplomatycznej, ale powolnemi etapami gospodarczo-społecznej przemiany. Zniesienie pańszczyzny w Kurlandji (1817) i w Inflantach (1819) dało chłopom łotewskim możność rozwoju gospodarczego, a to z kolei możność budowania kultury.

Po upływie lat pięćdziesięciu mają już oni swoją literaturę i swoją inteligencję, a pomyślne okoliczności pozwalają im po drugich pięćdziesięciu stać się panami we własnem państwie i dalszą historję tych bałtyckich krain pisać już samemu, bez Niemców czy Rosjan.

Tak samo lub niemal tak samo było z Estonją, Finlandją, Słowakami i masą innych — to wszystko są narody niehistoryczne.

NARÓD HISTORYCZNY

Inaczej wręcz jest z Węgrami — o tych historja mówi oddawna. Wódz ich Arpad przeszedł w 896 r. przełęcz Werecką i na nizinie panońskiej zbudował własne państwo. Pra-prawnuk jego, św. Stefan chrzci się i dostaje z rąk papieża królewską koronę. On i potomkowie jego tworzą z barbarzyńskiej hordy cywilizowany naród, biorą udział w krucjatach (nawiasem mówiąc, jedyna krucjata Europy Słowiańskiej, to ta wyprawa Andrzeja II w 1217 r., w której brali też udział Polacy z ks. Władysławem Odoniczem) i bronią chrześcijańskiej kultury. Za Korwina przeżywają Węgry rozkwit renesansu i pierwsze szerzą nową sztukę za Alpami. A gdy po katastrofie mohackiej (1526 r.) państwo ich uległo rozbiciu — to jednak naród nie zamarł, ale wciąż trwał i świadczył o tem swojem życiu. Kwitnie poezja, powstają uniwersytety i mimo ciągłych walk idzie na wschód do Mołdawji ekspansja kultury. Gdy wreszcie po 145-ciu latach Buda zostaje Turkom odebrana, a wycieńczony wojnami naród popada po traktacie szatmárskim (1711 r.) w letarg, to jednak i ta epoka nie unicestwia ani Węgrów, ani Węgier. Odrębny styl cywilizacji jest utrzymany, odrębne państwo także — a po okresie gwałtownych reform i gorączkowego

doganiania czasu naród daje znać o sobie wojną z Austrją (1849 r.) i pełnemi zapału „wezwaniami“ Vörösmarty'ego i Petöfiego. Po klęsce następuje kompromis i bogate życie w dualistycznem państwie, a potem nowa katastrofa wielkiej wojny i komunizm. Zawsze jednak ten kraj miał kulturę własną i historję własną — i od tysiąclecia, jak osiadł na tej ziemi, on tylko pisał jej dzieje swoją krwią i swoim wysiłkiem.

NARÓD ODRODZONY

Węgrzy więc zawsze byli w historji, a Łotysze weszli do niej niedawno. Te dwa typy jednak nie wyczerpują sobą rozmaitości narodów — jest jeszcze typ pośredni: narody odrodzone.

Weźmy bowiem Czechów. Ich historja jest wcześniejsza od węgierskiej i są już oni chrześcijańskim narodem w chwili gdy tamci są barbarzyńskiemi koczownikami. Ich dynastja wprawdzie popada w zależność od Niemiec, ale tem nie mniej jednak utrzymuje byt państwowy i samodzielność kultury. A gdy ta zależność po świetnym okresie francuskich Luksemburgów staje się zbyt ciężką do zniesienia — naród zrywa ją i w wojnach husyckich wybija się na czoło niemal Europy. Sztandar reformacji pierwsi podnoszą Czesi i Luter bez poprzednictwa Husowego byłby nie do pomyślenia. Kwitnie i oświata i kultura; język czeski jako dworski i polerowany króluje na Wawelu — wojsko czeskie zdobywa sobie światową sławę.

Wszystko to jednak kończy się z bitwą Białogórską (1620 r.). Na Staromiejskim rynku w Pradze wytępiona zostaje szlachta czeska, a myśl bracka ucieka za granicę. Tam w Lesznie, czy Amsterdamie pisze Komenjusz i tam tli jeszcze słaby ogieniek czeskiej literatury. W kraju tymczasem czeszczyzna kona i Czech na całe 150 lat nie ma. Praskie baroki i to wszystko co wtedy na ziemi czeskiej powstało, to nie dzieło Czechów, ale Austrji i wyraz jej cywilizacji i jej ducha. Wspaniały pałac, gdzie dziś mieści się czechosłowackie ministerstwo spraw zagranicznych, był stawiany nie dla hrabiego Czernina z Chudenic, ale dla grafa Czernina von und zu Chudenitz. W historji czeskiej następuje luka. Naród nie popadł w letarg czy martwotę, ale wręcz zamarł. Lud czeski tych czasów, to tylko taki szczep jak Łotysze i trzeba dopiero analogicznego jak u nich ruchu, by i on powstał.

I powstał rzeczywiście, a tem prędzej, że wszystko wkoło mówiło mu o dawnej świetności; że trzeba było tylko odgrzebywać a nie tworzyć. Odbudowano więc język, przypomniano historję i stworzono nową ideologję panslawistyczną. A cały ten ruch zaczynali ludzie, co tylko niemiecką kulturę mieli i tylko po niemiecku mówili. Gelesius Drobner na starość dopiero nauczył się czeskiego, Palacky zaczął swą historję po niemiecku, a Jungmann nie zostawił słownika czeskiego, ale czesko-niemiecki.

W każdym razie naród odzyskał życie, odzyskał moc pisania historji i własne państwo, wielkie jak nigdy ono nie było. A jakby na dowód tego, że poprzez habsbursko-katolicką lukę stanowi ono jedność czesko-husycką, obalono kolumnę Niepokalanej na rynku praskim.

Oprócz więc narodów niehistorycznych są też i odrodzone, do których choćby cały Bałkan należy, ale bez Rumunji, która na swój sposób ciągłość historyczną utrzymała.

RÓŻNICE TYPÓW

Reasumując i uogólniając to wszystko co pokazałem na przykładach, — naród niehistoryczny wytwarza z etnosu własny etos, wtedy kiedy inne narody normalnie go już dawno posiadają, i w ten sposób występuje jako czynnik nowy, naruszający pewne nabyte prawa innych. Więc np. Finnowie stając się narodem umniejszyli Szwecję, Estowie — Niemcy, Słowacy — Węgry. Naród odrodzony, utraciwszy w biegu dziejów na rzecz innego swój etos, wytwarza analogicznie do niehistorycznych drugi, który czerpie wprawdzie z tradycyj pierwszego, ale już nie tak bezpośrednio, raczej w sposób podobny do tego, jak my wszyscy opieramy się na antyku. Wreszcie naród historyczny, to ten, który swój etos wytwarza na prawach równości z innemi — np. my jesteśmy młodsi od Zachodu, ale w naszym świecie równorzędni jakościowo z innemi narodami historycznemi, jak Węgry czy Chorwacja — i raz wytworzony etos zachowuje przez cały dalszy ciąg swych dziejów.

Przypatrując się bliżej temu podziałowi widać, że teoretycznie — największe przeciwieństwo kryje się nie między zdawałoby się najbardziej krańcowemi, jak historyczny i niehistoryczny, skoro bieg czasu coraz je do siebie upodobnia i zasadniczą zrazu różnicę redukuje po wiekach, tylko do młodości — ale między narodem odrodzonym a historycznym, bo ciągłość dziejowa raz utracona nie da się już nigdy przywrócić i tylko ta różnica jest jedyną, która nigdy usunięta nie będzie i której zatarcie nie leży w ludzkiej mocy.

Naprawdę jednak, abstrahując od wszelkiej teorji, która w tego rodzaju sprawach jest bez znaczenia i byłaby tylko grą formułek, a biorąc je pod najważniejszym kątem widzenia — od dzisiejszości, od strony charakteru etosu — widać, że narody odrodzone i nowe tworzą jedną grupę, historyczne — drugą. Etos pierwszych, bez względu na to, czy dawniej miały jakąś tradycję czy nie, nosi ten sam charakter, jest tak samo świeży i ludowy. Nie zdążyła się tam jeszcze wytworzyć jakaś zasadnicza różnica między górą i dołem. Cały naród jest jakby konwencjonalnie na te dwa kręgi podzielony, a zatem więcej jednolity i zwarty, silniej zespolony, czego nie ma w historycznych narodach. Zgadzam się, że taki stan jest może bardzo idealny i daje dużo korzyści, ale cały sens w tem, że jest on możliwy tylko w pewnem stadjum rozwoju, które my już mamy za sobą. Tę sielankę przeżywaliśmy ni mniej ni więcej jak jakieś sześćset lat temu za dziejów wczesno-piastowskich i do tego stanu już powrócić nie możemy, choćbyśmy nie wiem jak pragnęli.

Zdaję sobie doskonale sprawę, że w moich ustach to twierdzenie brzmi nieco dziwnie. Propagując powrót do stanów, broniąc zwartości etosu — sprawiać mogę wrażenie pewnego myślowego wygodnisiostwa, skoro mojem zdaniem wrócić można do tego wszystkiego, do czego się chce, a do innego nie. Na szczęście moje rozumowanie nie jest takie łatwe; można bowiem nie tylko chcieć, ale i wrócić do pewnego typu cywilizacji, do pewnej ideologji, ale do pewnego procesu społecznego,

który się już ma za sobą — nigdy. Tak jak nie wróci się dziecięctwo i nic się nie „odstanie”, tak samo i naród nie może swej młodości przeżyć po raz drugi, a jeśli to mimo wszystko próbuje robić, to nic dobrego z tego nie wychodzi.

Co innego bowiem chcieć porządkować rzeczywistość, nie negując żadnego z jej przejawów, według pewnej ideologji wiecznie żywej, a co innego chcieć stworzyć nową rzeczywistość nie przez uporządkowanie tej co jest, ale przez chimeryczne jej zaprzeczenie. I za taką właśnie chimeryczną złudę uważam wszelkie twierdzenie, że gwałtowne rozgrodzenie etosu, masowe wprowadzenie do niego żywiołów nowych i równoczesne wyrugowanie z niego jego historycznych przedstawicieli sprowadzi w skutkach tę prężność i jednolitość jaka cechuje narody nowe.

Podobny proces byłby bowiem zarówno w samej swojej istocie, jak skutkach i przebiegu najzupełniej różny z tym, jaki u tamtych narodów obserwujemy. Składa się na to zaś to wszystko, co nieuctwo historyczne i materjalizm, widzący zawsze siłę w masie i liczbie tak sobie beztrosko lekceważą, a co zawsze zwycięża — spadek dziejów. Patrząc na jakieś zjawisko to przedewszystkiem trzeba zobaczyć. Nie można więc nie widzieć, że u nich etos dlatego jest bardziej otwarty i zespolony z etnosem, ponieważ jest dopiero w końcowych stadjach swego krystalizowania się. Nie ma więc jeszcze kadr pełnych i musi czerpać z dołu w większej niż inny, wykończony już, mierze. Nie mając ukształtowanego przez historję oblicza, ani w życiu, ani w kulturze nie odbiegł nadto od tego prymitywu jaki daje etnos, przez co ma ułatwione zagadnienie asymilacji i większą zdolność trawienia przybytku. Cały więc ten niższy poziom życia i mniejsza dojrzałość do wytwarzania wielkich dóbr duchowych (jakiż nikły w zestawieniu z małym choćby narodem historycznym, jak Chorwaci, jest tu dorobek nawet szybko rozkwitłej Finlandji, czy znów z innej strony gdzież są analogiczne sobie zestawienia dzieła literatury i sztuki czeskiej—nowej—do naszej czy węgierskiej?) powodują tę jedność, która ma więc i swoje wcale ujemne cechy, bo gdzie brak przepaści tam niema szczytów.

ZAGADNIENIE POLSKIE

Nasze zaś warunki są inne, o wiele więcej skomplikowane i gdy w Czechach czy na Łotwie przypływ od dołu, coraz zresztą mniejszy, ma charakter wyłącznie dodatni powolnego podnoszenia, bo budowania etosu — to u nas już tego niema i analogiczny przypływ w pewnych okolicznościach może nawet nabrać charakteru wręcz odwrotnego, bo obniżania i burzenia.

Jest to prosty wynik tego, że nasz stan faktyczny jest inny i w analogicznem do tamtych narodów położeniu znaleźlibyśmy się dopiero wtedy, gdybyśmy, uznawszy nasz obecny etos za całkowicie zły, wytępili go doszczętnie i zaczęli na jego miejsce tworzyć nowy. Tak zrobiono w Rosji, ale jest to rewolucja i to rewolucja tak zasadnicza, że nie ma mojem zdaniem tak wielkiej choroby, którąby podobne eksperymenty uprawniała.

Myśl takiego postępowania dla narodowca jest tembardziej obca, że wymaga jako ideowego jałożenia potępienia całej przeszłości swego kraju z uznania, że etos nie jest narodem, a jest nim tylko etnos, który za ową złą przeszłość odpowiedzialności nie ponosi. Jest to absurd i etnos zawsze ma swój udział w dziejach i swoją cząstkę w czynach etosu. On go w ten czy inny sposób dozoruje i głos szarej masy daje się słyszeć w historji nie tylko pomrukiem rewolucyj, ale też entuzjazmem z jakim pewne hasła czy posunięcia są przyjmowane. Naród jest jeden i jeśli jakaś jego cząstka jest chora to trzeba ją tylko leczyć — żadna amputacja przynieść poprawy nie może.

Że nasz etos jest chory, to kwestji nie ulega, ale ta choroba (wykolejenie ideowe) jest tego rodzaju, że jaknajszersze otwarcie dolnych szranek nie może na nią skutecznie zaradzić. Sądzę nawet, że przeciwnie raczej tylko pogorszy położenie. Żeby bowiem ten przypływ mógł się z pożytkiem dla narodu odbywać, musi go poprzedzić pewne umocnienie się w sobie etosu, jego skrzepienię się koło właściwego kośćca ideowego. Bez tego z jednej strony żywioł nowy ulegać będzie jakby pewnemu zarażeniu i wykolejeniu, z drugiej zaś cały etos będzie słabł coraz bardziej, rozwodniając się i rozpraszając i tracąc zdolność rozumienia swojej istoty i tego spadku, który po zbiegłych wiekach otrzymał. O ile więc narody niehistoryczne, dzięki swej jednorodności, która jest przywilejem momentu dziejowego, mają tu zagadnienie stosunkowo proste, to u nas tej prostoty brak i lekarstw trzeba też więcej skomplikowanych. — Gdy bowiem etos nowy znajdzie w zetknięciu z dołem dla jego zasadniczego podobieństwa zawsze korzyść dla siebie, o tyle etos historyczny, na którym spoczywa obowiązek rozwinięcia i przekazania otrzymanego dziedzictwa, a który równocześnie jest już trochę od etnosu oddalony, sprawy właśnie tak prosto ujmować nie może.

ZADANIA RUCHU NARODOWEGO

U nas zaś ta sprawa jest o tyle jeszcze bardziej zawiła, że komplikują ją żydzi. Etos przemieszany z żydami tylko szkodę przynosić może, trzeba więc naprzód tę sprawę rozstrzygnąć, to pierwszy postulat uzdrowienia.

Usunięcie żydów i wyodrębnienie przechrztów już wyjaśni znacznie sytuację, ale jeszcze nie wystarczy by dać naszemu etosowi zdrowie. Musi on odzyskać także swoją ideologję, którą zatracił właśnie we współżyciu z żydami — musi więc wrócić do katolicyzmu, jako religji obejmującej całe życie ludzkie bez żadnej reszty.

Obu tych rzeczy dokonać może tylko obóz narodowy. Nie mówiąc już o żydach i odrodzenia katolickiego bez niego nie będzie. Samo duchowieństwo tu sobie rady nie da i musi znaleźć pomoc u świeckich, których praca jest konieczna. Ciąży więc na wszystkich narodowcach wielki obowiązek dania Polsce, a przez nią światu, nowego wspaniałego okresu cywilizacji katolickiej, jakiego nie było niestety już od baroku. Zadanie dzisiaj jest podobne i tak jak barok przełamał reformację i to wszystko co ona wniosła, tak my przełamać musimy cywilizację „Postępu” i cały stek bredni dziewiętnastowiecznych. — W tem leży zadanie ruchu narodowego w Polsce i tę myśl, jako z gruntu katolicką, on najdoskonalej podejmie, — to zakład naszej wielkiej przyszłości.

KAROL STEFAN FRYCZ

SIŁA I PRAWO

W OKRESIE chwiania się ustrojów politycznych i społecznych praca prof. Romana Rybarskiego jest szczególnie aktualna. Stanowi ona niejako wprowadzenie do poważnych dyskusyj na temat przyszłego ustroju państwa polskiego. Prologomena takie wydają mi się niezbędne, bowiem towarzyszący epoce przełomowej chaos wyraża się również w posługiwaniu się podstawowemi pojęciami.

Prof. Rybarski ustala te pojęcia i zasadnicze fakty i z nich wyprowadza pewne ogólne wnioski i wskazania. Czyni to z poczuciem odpowiedzialności, nie bawi się w efektowne przepowiednie, nie daje gotowych, szczegółowych rozwiązań, wytycza natomiast drogi, po których biec powinna myśl polityczna.

Każdego prawnika, który ujmuje głębiej rolę prawa w życiu społecznem, uderza kryzys, który przechodzi również sama idea prawa. „Dzisiaj"— pisze autor — „niejeden trzeźwy, „realny" polityk gotów jest przyjąć bez zastrzeżeń pogląd, że prawo to tylko szata, w którą można ubrać każdą siłę, a prawnicy to krawcy, którzy szyją tę szatę na każde zamówienie". Te słowa wyjąłem z przedmowy. Pesymizmowi ich przeciwstawić można ostatnie zdanie zakończenia: „Może było warto te rzeczy przypomnieć w chwili, kiedy mimo wszystko, co się wkoło dzieje, coraz mocniejsza jest tęsknota za panowaniem prawa".

W przodującej pod względem kultury prawnej Francji ukazały się w ostatnich latach wybitne prace pod znamiennemi tytułami, np. „Bunt prawa przeciwko ustawom" lub „Odrodzenie prawa naturalnego". Jest to reakcja przeciwko t. zw. pozytywistom w prawie, którzy wyrzekają się wszelkich sądów wartościujących. Najznakomitszy z pozytywistów, Kelsen, wychodząc z założenia, że porządek prawny polega na stopniowej konkretyzacji i indywidualizacji norm ogólnych, dochodzi do wniosku, że jeżeli istnieje norma podstawowa w państwie despotycznem: „wola władcy jest prawem", to w tem państwie mamy również ustrój prawny, ponieważ wszelkie normy prawne i zarządzenia są realizacją owej normy zasadniczej.

Otóż właśnie przeciw takiemu „ubieraniu w szatę prawną siły" protestuje poczucie prawne w społeczeństwach cywilizowanych. Prof. Rybarski wyjaśnia, jaką doniosłą rolę odgrywa prawo w społeczeństwie. Życie społeczne jest współdziałaniem ludzi, skierowanem ku oznaczonym celom. „Stosunek społeczny to celowy stosunek między ludźmi, określony przez przyjętą przez nich normę społeczną. Normy społeczne to zasady postępowania, zachowania się ludzi we wzajemnych ich stosunkach; normy te regulują życie społeczne". Życie społeczne wymaga stałości. Zapewniają ją przedewszystkiem normy przymusowe, które stają się instytucjami społecznemi, jako trwałe urządzenia stosunków między ludźmi, realizujące kierownicze ideje. „Społeczeństwem możnaby nazwać trwałe zespolenie jednostek, których stosunki uregulowane są przez normy społeczne i krystalizują się w instytucjach społecznych". Te przeto rozmaite normy społeczne stanowią więź, łączącą daną grupę społeczną. Wobec istnienia różnorodnych związków społecznych musi istnieć między niemi hierarchja prawna i hierarchja wartości. W dobie obecnej dominującym, najwyższym typem organizacji społecznej jest wspólność narodowa. W związku z temi wywodami autor czyni głęboką uwagę: „Historja życia społecznego — to w znacznym stopniu historja walki między różnemi rodzajami związków społecznych. I na tle tej historji przeciwstawienie między jednostką a społeczeństwem wygląda niezbyt realnie. W gruncie rzeczy pod tą firmą toczą się walki różnych związków społecznych; „prawa jednostki" to tylko zawołanie bojowe".

Starano się wykryć prawa, rządzące życiem społecznem. Ale determinizm społeczny, tak sprzeczny z psychiką ludzką, wierzącą w skuteczność wysiłków indywidualnych i zbiorowych, nie jest zgodny z historyczną rzeczywistością. Skoro zaś nie możemy ustalić praw życia społecznego na wzór praw świata fizycznego, zjawia się pogląd, że w tem życiu decyduje siła. W państwie np. zdobywa władzę siłą jakaś grupa. Czy ta siła grupy rządzącej zapewnia trwałość ustroju, czy „prawo jest tylko posłusznem narzędziem siły, tylko jej dekoracją?"

Rozpatrzywszy czynniki, które dawały ustrojom państwowym gwarancję trwałości (uświęcenie ustroju przez religję państwową, przywiązanie do dynastji, ustrój stanowy, stosowanie zasady *„divide et impera"*, dążenie do zapewnienia ludności dobrobytu, rządy, oparte na ludowładztwie, rządy siły zbrojnej), prof. Rybarski dochodzi do istoty zagadnienia — roli prawa w utrwalaniu się ustroju.

Prawo jest czynnikiem stałości społecznej, jest wyrazem potrzeby ładu. Prawo jest normą dwustronną. Prawo ogranicza wolność, bo nakłada obowiązki, również na sprawujących władzę. Jeżeli w drodze przewrotu jakaś grupa zdobędzie władzę, to chcąc ją utrwalić, wydaje normy prawne i zapewnia zrealizowanie przez siebie wprowadzonych ustaw. Obserwować można stałe zjawisko przekształcania się siły w prawo, powstawania instytucyj prawnych, zapewniających jednostkom dochodzenie przyznanych im praw podmiotowych. Ale ustawy mają zapewnioną trwałość tylko wtedy, gdy odpowiadają poczuciu moralnemu społeczeństwa.

Rządy siły, nie znajdujące oparcia w ideach moralnych społeczeństwa, utrzymać się długo nie mogą. „Siłę, która daje początek władzy w państwie, wtedy tylko przeobrazi się w obecnej epoce w prawo, jeżeli to prawo będzie narodowem prawem. Siła zbrojna, czy jakakolwiek inna siła fizyczna, nie może być celem w sobie; w idei narodu znajduje cel, któremu ma służyć. Wtedy dobro narodu jest kryterjum oceny instytucyj państwowych. Mocne wrośnięcie urządzeń prawnych w grunt narodowy nadaje im trwałość i ciągłość, nadaje im głębszy sens i istotne znaczenie".

Czy z tej zasady państwa narodowego wynika, że życie narodu znaleźć winno wyłącznie wyraz w państwie? Autor poddaje wnikliwej krytyce ideję państwa „totalnego", które nazywa monopolicznem, wiarę jego zwolenników w bezwzględną skuteczność przymusu ustawowego i sankcyj prawnych, dążenie do usunięcia stronnictw politycznych i różnych kierunków ideowych. Stwier-

dza, że w takiem państwie monopolicznem uzupełnianie się grupy rządzącej doprowadza do zaniku ideowości, do objęcia funkcyj politycznych przez biurokrację; usunięcie czynnika walki i współzawodnictwa prowadzi do skostnienia i upadku.

Nie może być recepty na ustrój narodowy. Właśnie rozwój nacjonalizmu, w przeciwieństwie do liberalizmu i socjalizmu, wywołać musi większą różnolitość form ustrojowych, bo te odpowiadać muszą typowi duchowemu danego narodu, skoro źródłem władzy jest naród. Państwo narodowe musi być zgodne z charakterem narodu. Jest przeto rzeczą doniosłą ustalenie zasadniczych cech charakteru narodowego.

Takie są główne myśli przewodnie nowej pracy prof. Rybarskiego. Niewątpliwie wywołają one żywy oddźwiek w społeczeństwie.

BOHDAN WASIUTYŃSKI

W SŁUŻBIE CZARNEGO ORŁA

UKAZAŁY się niedawno pamiętniki hr. Bogdana Hutten-Czapskiego pod tyt. „Sześćdziesiąt lat życia politycznego i towarzyskiego". (Tom I str. 652, II str. 665. Warszawa 1936 r., nakład Hoesicka). Autorem tych pamiętników jest były wysoki dygnitarz Rzeszy Niemieckiej, rzeczywisty tajny radca, członek Izby Panów, burgrabia zamku cesarskiego w Poznaniu etc., etc.

Obdarzony zaufaniem cesarzy Niemiec oraz kierowników politycznych Rzeszy, znany i ceniony na obcych dworach i wogóle w sferach politycznych Europy, hr. Hutten-Czapski przez pół wieku niemal oddawał się z zamiłowaniem mniej lub więcej jawnej lub zakulisowej działalności politycznej, często ku zadowoleniu swoich mocodawców, a nie bez pożytku, czy też chwały własnej.

Podczas wielkiej wojny dał się poznać bliżej społeczeństwu polskiemu, jako między innemi kurator Uniwersytetu oraz Politechniki w okupowanej przez Niemcy Warszawie, jako doradca generała Beselera w rzeczach polskich i pośrednik pomiędzy władzami okupacyjnemi i ogółem polskim.

Pamiętniki hr. Czapskiego obejmują znaczny okres czasu, mniej więcej od 1870 do 1931 roku, i obfitują w fakty, dokumenty, wspomnienia, wprawdzie odnoszące się głównie do dziejów Niemiec, nie mniej jednak posiadające niemałą wartość i dla naszych, zwłaszcza w części, gdzie mowa o okupacji kraju naszego przez Niemców.

Badacze stosunków politycznych w Niemczech w związku z ich polityką międzynarodową, w czasach od 1870 do końca wielkiej wojny, znajdą tu dla siebie sporo ciekawych i nieznanych przyczynków. Nam wszakże nie o nie głównie chodzi, lecz o samego autora pamiętników: interesuje on nas przedewszystkiem jako osobliwego nabożeństwa Polak, biorący żywy udział w opisywanych przez się zdarzeniach i zjawiskach dziejowych.

Zainteresować bowiem czytelnika polskiego może sprawa, wskutek czego, jakiemi drogami oraz zrządzeniem losu, członek znanej rodziny ziemiańskiej z Wielkopolski doszedł do wysokich urzędów i zaszczytów w państwie zaborczem, w środowisku obcem, nieufnem względem wszystkiego, co pochodzeniem oraz ideą było prawdziwie polskie?

W tej sprawie, która ściśle się wiąże z charakterem moralnym autora pamiętników, dużą rolę odegrała wola jego dojścia do znacznego stanowiska w świecie. W dwudziestym roku swego życia, zastanawiając się nad wyborem drogi, nie wybiera hr. Czapski naturalnej i ścielącej się prosto przed nim (oddanie się życiu ziemiańskiemu, zajęcie się administracją wielkiego majątku i t. p.) lecz trudną i niepewną.

„Wszystko mnie parło"—wyznaje — „do działalności w życiu publicznem, w służbie jakiegoś wielkiego organizmu państwowego, mogło to być jedynie Królestwo Pruskie i Rzesza Niemiecka" (str. 29, t. I).

Tego rodzaju naciskowi woli na jego istotę duchową przyszła zaraz z pomocą idea polityczna: skłonności naturalne zostały wzmocnione świadomością.

„Moje zapatrywania polityczne"—powiada dalej—„rozwijały się od wczesnej młodości w przeciwieństwie do tych, jakie panowały w mej ojczystej prowincji i wśród ludzi mego stanu. Zachowując pełną cześć dla tradycyj historycznych, i mimo całego przywiązania do swojej narodowośwości, byłem zdania, iż każdy obywatel ma bezwzględny obowiązek brania udziału we wspólnej pracy dla państwa, jako całości".

Na drogę tego obowiązku wszedł bez wahania, z „postanowieniem zdobycia wybitnego stanowiska w stolicy nowego Cesarstwa" (str. 56, t. I.)

Od samego początku, dzięki swoim stosunkom rodzinnym, znalazł tam hr. Czapski możnych protektorów i opiekunów, wśród których widzimy nawet starego cesarza Wilhelma I oraz jego małżonkę, a także rozmaitych dygnitarzy dworskich, wojskowych i cywilnych. To wszystko dopomagało mu bardzo „w służbie dla całości państwa". Nie mniej jednak zawdzięcza również dużo samemu sobie, swojej ochocie do pracy, wytrwałości, wiedzy, oraz elastyczności natury — jej bojowości, jak powiada — niezrażającej się przeciwnościami, umiejącej się przystosowywać i korzystać z chwili sposobnej, gdy się nadarzy.

Nadewszystko jednak powodzenia swoje zawdzięcza hr. Czapski swej umiejętności życia z ludźmi, jednania ich sobie „papką i czapką" (*nomen-omen*), usłużnością i służbistością, a zwłaszcza, przy pełnieniu wkładanych na niego obowiązków, rozważania ich z wysokiego punktu widzenia, co też pozwalało mu pracować dla całości państwa nie krępując się skrupułami rozmaitych partykularnych względów—tradycji rodzinnej, narodowości i. t. p.

Skoro już wszedł głębiej „w organizm państwowy" Królestwa Pruskiego i Rzeszy Niemieckiej, to tam, wśród jego organów rozmaitych, potrafił tak zręcznie się obracać, że nie wchodził nigdy w ostry konflikt z żadnym (jeśli coś podobnego zachodziło to nie z jego winy) — przeciwnie umiał zawsze stwierdzić czynem swoją tu użytecz-

ność, budząc ku sobie zaufanie zwierzchników, wzmacniając więzy, łączące go w służbie z niemi. Lojalnością niezawodną oraz gorliwością przykładną wyróżniał się wśród wielu najlojalniejszych Niemców.

Do jakiego stopnia hr. Hutten-Czapski posuwał swoją gorliwość służbową niech świadczy jeden — z wielu podobnych — fakt następujący. W 1892 r. przyszła mu do głowy — jak wyznaje — świetna myśl, by zebrać w podróży po państwie rosyjskiem wiadomości dla „wielkiego" Schlieffena, szefa sztabu głównego. Schlieffen chwycił się oczywiście tej myśli, okoliczności zaś sprzyjały wyprawie. Siostra hr. Czapskiego miała niezałatwione sprawy majątkowe na Wołyniu, pod pozorem więc ich uregulowania, z pełnomocnictwem oraz paszportem, w których figuruje wyłącznie jako właściciel dóbr rycerskich, wyrusza w drogę — otrzymawszy uprzednio odpowiednie instrukcje ze Sztabu Głównego.

W pamiętniku rozwodzi się szeroko autor nad tem, jak badał stan umysłów społeczeństwa polskiego w Królestwie, Galicji, w prowincjach zabranych i t. p.; jakie stąd wyciągnął wnioski co do zachowania się Polaków na wypadek wojny Niemiec z Rosją, i o tem jak uzbierane informacje złożył w opracowanym raporcie szefowi Sztabu Głównego.

„Omówiłem w raporcie moim" — pisze — „klęskę głodu w Rosji, sprawę kolei, twierdz, translokacji wojsk, wstępnych prac mobilizacyjnych i przygotowań wojennych, nastroje polityczne w społeczeństwie polskiem oraz kierownicze osobistości administracji rosyjskiej. Memorjał" — dodaje — „nietylko zyskał uznanie szefa sztabu, lecz również ks. Hohenlohe (kanclerz) i cesarza, któremu później został przedstawiony" (str. 186, t. I). Nie dość było jednak autorowi raportu dowodów uznania, nie poprzestał bowiem na jednym, lecz korzystając ze stosunków nawiązanych w zaborze rosyjskim, zebrał znowu sporo wiadomości, które złożył sztabowi w dwu innych raportach (z 14-go września 1892 i 25-go lipca 1893 r.) „Poza sprawą dostaw broni do Rosji" — powiada — „traktowały one głównie o sytuacji politycznej w zaborze rosyjskim".

Tak, więc paszportowy „właściciel dóbr rycerskich", który był podówczas wzorowym szefem szwadronu huzarów w Kassel, stał się, na ochotnika, nie będąc oficerem w służbie Sztabu Głównego, jego współpracownikiem, — i to w sprawach nader delikatnych, powierzanych specjalistom, a to wszystko wskutek swoiście pojmowanego obowiązku wobec państwa „jako całości".

Tego rodzaju samorzutny zapał wywiadowczy trudno wprawdzie pogodzić z „czcią dla tradycji rodzinnej" (w tym wypadku dwu dziadków hr. Czapskiego, generałów wojsk polskich i t. p.), i nie wypływał z „bezwzględnego obowiązku" służenia państwa, gdyż obowiązki podobne należą do czynności specjalnych funkcjonarjuszów Sztaau Głównego.

Zamiłowanie do tego rodzaju czynności leżało snać w skłonnościach wrodzonych hrabiego, podejmuje się ich bowiem chętnie i często w swej długoletniej służbie państwowej, i odznacza się od samego początku dużemi zdolnościami w tym kierunku.

Już jako b. młody urzędnik ambasady niemieckiej w Paryżu, na prośbę ambasadora (ks. Hohenlohe) „wyzyskuje" tak umiejętnie swoje szerokie stosunki towarzyskie (bywał nawet u księcia d'Aumale itp.), że na ich podstawie składa informacyjny raport, który spotyka się z uznaniem nawet żelaznego kanclerza Rzeszy. Bismarck po przeczytaniu raportu, wyraził się o jego autorze w ten sposób:

„Świetne sprawozdanie. Ten młody człowiek ma istotnie dobre stosunki" (str. 95, t. I).

W wiele lat później inny kanclerz (ks. Bülow), potwierdza powyższą opinję, i własnoręcznym listem dziękuje za dostarczenie urzędowi kanclerskiemu ważnych wiadomości, zebranych znowu dzięki rozległym stosunkom hr. Czapskiego w świecie politycznym Europy.

Bülow tak pisze: „Niech pan przyjmie moje najlepsze podziękowanie za swe słowa, za pomocą których przekazał mi pan znowu, jak dość już często, cenne polityczne wskazówki" (str. 507, t. I). W innym liście kanclerz, dziękując, dodaje: „witam z radością, że pan znakomite swe stosunki zagranicą z takim pożytkiem stawiać raczy do dyspozycji naszej polityki zagranicznej" (str. 614, t. I).

Nie należąc więc ani do Sztabu Głównego, ani do min. spraw zagranicznych, hr. H.-Czapski zgłasza się wciąż samorzutnie, z osobliwego amatorstwa, do powyższych instytucyj — i stawia do ich dyspozycji swe znakomite (w istocie) stosunki zagranicą, pozyskane w Europie podczas różnych misyj, powierzanych mu nieraz przez rząd Rzeszy, a często i bez jego wyraźnych zleceń.

Wszystko to, jak widzimy, wychodzi daleko poza zakres normalnych obowiązków obywatela będącego w służbie państwa, i znamionuje jakąś niepowstrzymaną pasję służenia mu, w czasach i wbrew temu, co w jego dążnościach i zamierzeniach mogło razić i oburzać nawet niezbyt twardego Polaka.

Wówczas bowiem, kiedy hr. Czapski kwitnął na dworach swoich Suwerenów — jak ich nazywa — gdy uwijał się po rozmaitych scenach Europy i zasiadał nieraz u stołów jej monarchów (Hiszpanji, Rumunji, nawet Portugalji i w. in.), mężów stanu i polityków, zbierając tą drogą pożyteczne wiadomości, które stawiał do dyspozycji kanclerzów i ministrów niemieckich, — wówczas właśnie polityka pruska i wogóle Rzeszy, głosiła hasła „*ausrotten*" w stosunku do jego rodaków i obmyślała ustawy, zagrażające ich bytowi narodowemu.

Miał wówczas hr. Czapski dobrą sposobność wyraźnego zamanifestowania swego „przywiązania do własnej narodowości" (o czem wyżej), miał możność zajęcia postawy godnej jego tradycji rodzinnej. Tego nie uczynił. W pamiętnikach, w opisie jego zabiegów w sprawie ustawy wywłaszczeniowej np., to się nie zaznaczyło.

Będąc przeciwnikiem polityki eksterminacyjnej względów Polaków, zwalczał ją hr. Czapski z tych samych powodów, z jakich jej byli przeciwni liczni jego przyjaciele — Niemcy, (np. ks. Hatzfeldt, ks. Pless, feldmarszałek Haeseler i t. p.), zwalczający tę politykę ze stanowiska czysto pożytku państwowego, jako coś, co się nie godzi z „kodeksem cywilnym", co podrywa podstawy zasadnicze państwa i daje zły przykład.

Słowem i tu opierał się hr. Czapski na doktrynie bezwzględnego obowiązku służenia państwu

„jako całości". W tem, co czynił, żeby nie dopuścić do uchwalenia ustawy wywłaszczeniowej, nie czuć Polaka dotkniętego do żywego w swem poczuciu narodowem, w majestacie swej duchowej istoty polskiej, czuć natomiast zawsze lojalnego obywatela, dbałego przedewszystkiem o honor, o interes i pożytek państwa.

Z tego stanowiska zwalczał hr. Czapski to wszystko, co w Rzeszy Niemieckiej mogło być z tem w niezgodzie. Dlatego też i politykę Polaków z dzielnicy pruskiej uważał za szkodliwą.

I nie mogło być inaczej, nie mógł się z nią łączyć, gdyż stał po tamtej stronie barykady.

Polak, który po zgonie cesarza Wilhelma I wyznaje, iż „niema na tym świecie nikogo, komubym do większej obowiązany był wdzięczności niż jemu" (str. 154, t. I); co wielkich dygnitarzy niemieckich (feldmarszałek Manteuffel, kanclerz Hohenlohe, minister Thiel i w. in.) uważał za swoich „ojcowskich opiekunów" i czuł się w ich rodzinach jakby we własnej; co wśród wybitnych Niemców wojskowych i cywilnych, liczył na dziesiątki i setki najlepszych przyjaciół; który nawet, dla wytchnienia po trudach, chronił się do specjalnie na to nabytych dóbr w Niemczech, gdyż tam mu było zaciszniej, niż w rodzinnym Smogólcu — tego rodzaju Polak był jednostką, która zerwała więź duchową z własnym narodem. Od takiego Polaka, co przeniknięty był do rdzenia swej istoty treścią obcą, niemiecką, który nią był głównie przez całe życie zaprzątnięty i jej oddawał wszystkie swoje siły intelektualne oraz energje moralne — wieje duchem obcym jego narodowi. Nie dość, że swe siły duchowe zużywał hr. Bogdan Czapski na rzecz Niemiec, ale nadto lubował się w tego rodzaju życiu i był przekonany, iż tak czynić jak on, w takim stosunku do państwa żaborczego powinni pozostawać inni Polacy jego ojczystej prowincji.

Tak żyjąc przez kilkadziesiąt lat w dobrowolnej a gorliwej służbie „Czarnego Orła"—doczekał się hr. Czapski wielkiej wojny. W okresie jej trwania osiągnął szczytowy punkt swej karjery życiowej, oraz swoich zabiegów i działań na rzecz państwa niemieckiego.

Obdarzony pełnem zaufaniem cesarza Wilhelma II, przeznaczony został przez tegoż na ważne stanowisko pośrednika pomiędzy ludnością polską, okupowanej przez Niemców części Polski, a władzami okupacyjnemi. W tym charakterze, spełniając różne funkcje [1]), rozwinął hr. Czapski w Warszawie nader żywą i różnostronną działalność, której ideą kierowniczą, pielęgnowanym oddawna ideałem, było utworzenie, w wyniku zwycięstwa niemieckiego, samodzielnego państwa polskiego, będącego w ścisłym związku (*Anschluss*) z Rzeszą.

Współdziałał z władzą okupacyjną w tworzeniu tego państwa podług wzoru (w rozmiarach i granicach), na jaki rzekomo godzili się Niemcy, i uważał, iż na to zgóry, entuzjastycznie, powinni się zgodzić także i Polacy.

Stwarzał to przyszłe państwo polskie nie dla niego samego, nie po to, by stało się podstawą pełni życia i rozwoju narodu polskiego, lecz—zawsze podług doktryny wyznawanej — w interesie Niemiec, by zabezpieczało ich byt od strony „barbarzyństwa wschodniego", o czem często jest mowa w pamiętnikach.

W liście do cesarza Wilhelma II — w obawie by Austrja nie popsuła kombinacyj niemieckich — pisał między innemi: „Uważam, iż zarówno w interesie Niemiec, jak Polski, leży jedynie ścisły związek (*„Anschluss")* gospodarczy i polityczny Polski z Rzeszą niemiecką. Nad osiągnięciem tego celu pracuję od początku wojny, a kilkakrotne wypowiedzenia W. C. Mości umocniły mnie w stanowczem przekonaniu, że przez pracę tę wypełniam wolę mego Suwerena" (str. 501, t. II). A niebawem, w tej samej sprawie, w liście do przyjaciela, wysokiego dygnitarza bar. Reischacha — jeszcze szczerzej: „Polska jest krajem bogatym i zdolnym do rozwoju, a jej ścisły polityczny i gospodarczy związek z Niemcami przedstawiałby dla nas (!) wielkie korzyści. Austrja ze swą złą administracją nigdyby go nie podniosła. A i my chcemy coś mieć za to, że wojska niemieckie zdobyły ten kraj" (str. 502, t. II).

Mirażem takiego państwa polskiego pieścił hr. Czapski wzrok swój, oślepiony tryumfalnym pochodem wojsk niemieckich na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej,—i uwodził nim wielu polityków polskich (Radę Regencyjną i t. p.), którzy i bez tego, w ciągu zmiennych kolei wojny, nie wiedzieli czego się trzymać i *à quel saint se vouer*.

Miraż ów, — wszelkie niemieckie kombinacje „*Anschluss*'u" Polski do Rzeszy — cały, tak ponętny ideał pojednania niemieckiego wilka z polską kozą, pielęgnowany przez hr. Czapskiego w duszy przez pół wieku—został rozwiany i obrócony wniwecz dzięki klęsce Niemiec oraz zwycięstwu państw sojuszniczych.

Co dla rzeczywistego tajnego radcy Rzeszy było gorzkim zawodem („niestety" — powiada w pamiętniku — „nie urzeczywistniło się dążenie moje" etc.), to dla Polski, stało się zbawieniem, ale tego, dziś jeszcze, nie uświadamia sobie należycie ten, co szczycił się zaufaniem swoich niemieckich „Suwerenów".

Niechże teraz, gdy zrządzeniem Opatrzności z pysznych niegdyś dworów książąt Rzeszy przeniósł się do własnego, polskiego, w rodzinnym Smogulcu — rozpamiętywa w spokoju dzieje swego, marnotrawnego pod względem narodowym, żywota — a pokorą wobec ludzi i Boga i ofiarnością w stosunku do Polski gładzi jego grzechy. Niech jednak, jak to widać z pamiętników, nie upatruje dla siebie zaszczytu w tej przeszłości swojej, którą tylko smutną koniecznością można byłoby usprawiedliwić. W tym wypadku tego nie było, gdyż był nieprzymuszony, świadomy wybór drogi życia oraz działalności.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

[1]) Hr. Czapski był komisarzem przy Radzie Regencyjnej, kuratorem Uniwersytetu i Politechniki, doradcą generała Beselera w sprawach zarządu krajem okupowanym i t. p. Należy mu tu oddać sprawiedliwość, iż dbał o rozwój uczelni warszawskich, i ochraniał nasze archiwa. Już jako obywatel państwa polskiego zaznaczył się pięknym czynem, zapisując swój Smogulec Uniwersytetowi warszawskiemu.

NA WIDOWNI

„Krzyżowcy“ — powieść Zofji Kossak

„KRZYŻOWCY”, nowa powieść p. Zofji Kossak [1]), sprawiła mi jako recenzentowi wiele kłopotu. Łatwo wyrobić sobie określony sąd o dziele, w którem zalety tak dalece przeważają nad wadami, że te ostatnie mogą wogóle nie być brane w rachubę; łatwo podobnież, kiedy bardzo wielkie wady utworu każą zapomnieć o jakichś nikłych zupełnie jego wartościach. „Krzyżowcy” posiadają zarówno wady poważne, zbyt jaskrawe, aby można było je pominąć, jak zarazem też niepoślednie całkiem zalety. Stąd trudności w ujęciu wywołanych tem, sprzecznych wrażeń, w sformułowaniu, na ich podstawie, ogólniejszych wniosków i ocen.

Rozpocznijmy od zagadnienia, które w każdem dziele o przeszłości jest ważne, które sama autorka wysunęła na pierwsze miejsce w umieszczonem, jako zamknięcie ostatniego tomu, posłowiu, mianowicie: „Wiele w tej opowieści jest prawdy?” (IV, 339). Jest rzeczą widoczną, że do pisania „Krzyżowców” p. Kossak przygotowywała się pracowicie, w utworze swoim ustawicznie daje dowody obfitej i wielostronnej lektury, niejednokrotnie nawet ze zbytnią może skwapliwością rada popisać się bogactwem swej w różnych dziedzinach erudycji. A przecież raz po raz popełnia jakiś błąd historyczny, tembardziej w tych warunkach przykry i rażący, gdyż wskazujący na niedostateczną w każdym razie i wiedzę i wyobraźnię w tym zakresie.

Tak więc naprzykład, w szczegółowym opisie obrzędów żałobnych, odprawianych przez rycerzy polskich nad poległym Witosławem Strzegonią, zwanym Głowaczem, czytamy, iż „Jasiek Zawora śpiewał żałośliwym głosem pieśń, a raczej urywek z pieśni, zapamiętany z pogrzebu ich ojca, starego Przybywoja Zawory”:

...O mój smętku, ma żałości —
Nie mogę się dowiedzieci,
Gdzie mam pierwszy nocleg mieci,
Gdy dusza z ciała uleci... (III, 51).

A toż ta pieśń — to jeden z kunsztowniejszych zabytków literackich polskiego piętnastowiecza, utwór elegijny, znany pod nazwą „Skarga umierającego”![2]) Przeniesienie go o cztery stulecia wstecz, do wieku jedenastego, jest dowodem braku wyczucia epok i stylów, jaki ujawniłby przypuśćmy Sienkiewicz, jeśliby, opisującżycie na dworze księżny Wiśniowieckiej w Łubniach, nakazał nagle Anusi Borzobohatej zadeklamować... urywek z „Promethidiona” Norwida!

W innem znów miejscu, Imbram Strzegonia odprawił sługę „i zaopatrzył w niezgorszy mieszek talarów” (IV, 332), chociaż talary, monetę Rzeszy Niemieckiej, poczęto bić dopiero z końcem XV wieku, itp. itd. Zapewne, możnaby nie wytykać różnych takich drobiazgów, gdyby nie chodziło o autorkę, która właśnie w tego rodzaju wiedzy antykwarskiej szuka dla siebie chluby i która sama w ten sposób zwierza się czytelnikowi w „Zakończeniu” swojego dzieła: „...powinnam... umieścić zestawienie bibliograficzne dzieł, źródeł, kronik, opracowań, monografij, historyj, studjów, szkiców, foljałów, tomów, z których czerpałam dane historyczne lub obyczajowe”, lecz „rezygnuję... uważając za niemożliwość przypomnienie sobie i spisanie bodaj połowy tych książek, z któremi miałam sposobność zetknąć się... szukając w nich prawdy”... (IV, 343).

Podobnie jak przygotowaniem historycznem, lubi p. Kossak wykazywać się znajomością starej, średniowiecznej polszczyzny. A więc co chwila spotykamy „jenż” (zamiast: który), „giezło” (zamiast: koszula), wozy są „picowne” (zamiast: napełnione, naładowane) i t. p. Można rzec, iż wogóle cała powieść jest zbyt „picowna” i erudycją i archaizmami językowemi, zwłaszcza, że również i pod tym względem wiedza nie zawsze okazuje się idealnie precyzyjna. Tak np. stale używa autorka wyrazu „bożyc” w znaczeniu: „bóstwo pogańskie“, „bożek”, kiedy tymczasem wyraz ten znaczy tylko i wyłącznie „Syn Boży” (stąd w „Bogurodzicy”: „Twego dziela Krzciciela, Bożyce!”) — uformowany zresztą w sposób analogiczny jak „królewic” (syn króla), „starościc” (syn starosty), itp. Ponadto zaś owo starodawne słownictwo niedobrze łączy się z dzisiejszemi, dziennikarskiemi czy urzędowo-kancelaryjnemi lokucjami, ku którym nieraz twórczyni „Krzyżowców” wyraźną okazuje skłonność: „400 tysięcy ludzi, stanowiących poważny odsetek ówczesnego zaludnienia Europy ruszyło przed siebie” (I. 270) — temi słowami maluje p. Kossak moment rozpoczęcia krucjaty; „Tu nie może zaistnieć spór o to czyja władza wyższa”... (IV, 270)— rozmyśla w wyzwolonej Jerozolimie jej przyszły pierwszy patrjarcha łaciński, kapelan Arnuld de Rohes... Posługiwanie się — sterotypowe — zużytemi, zbanalizowanemi metaforami daje niekiedy efekty poprostu zabawne: „Stara macierz dygocze w zawiasach, podnosi do góry, opada” (III, 310)— mowa tu o początku trzęsienia ziemi pod Antjochją...

Także i psychologiczno - ideowa strona powieści nie zawsze jest dostatecznie pogłębiona. Ów Godfryd de Bouillon, grożący samobójstwem, by tym sposobem wymusić na bracie poniechanie nieszlachetnych zamiarów (II, 77)—bardzo odległy wydaje się od rzeczywistej psychiki średniowiecznego, chrześcijańskiego rycerza. Opis wystąpień przeciwżydowskich w Nadrenji (t. I, rozdz. XIV—XV) przedstawionych najściślej w myśl szablonów „humanitarno-postępowych” z epoki „asymilacji”, stanowi ciężką krzywdę moralną, wyrządzoną krzyżowcom, niesprawiedliwość, na którą nie zasłużyli.

Ale wskazując na te różne błędy ani na chwilę nie można zapominać o wartościach, które z „Krzyżowców” czynią — pomimo wszystko — jedno z najwybitniejszych dzieł literackich ostatniej doby. Ambitny zamysł p. Kossak zasługuje na szacunku pełne uznanie, nie tylko dlatego, że „*in magnis et voluisse sat est*”, że „*ut desint vires tamen est laudanda voluntas*”, lecz dlatego przedewszystkiem, że — w znacznej przynajmniej mierze — zamysł ten niewątpliwie uwieńczony został powodzeniem. Autorka potrafiła skomponować dzieło, potężne rozmiarem, jakby wielki fresk historyczny, na cztery płaszczyzny rozdzielony, wypeł-

[1]) Zofja Kossak: „Krzyżowcy”, t. I „Bóg tak chce!” str. 278, t. II „*Fides Graeca*” str. 340, t. III „Wieża Trzech Sióstr” str. 354, t. IV „Jerozolima wyzwolona” str. 343. Nakładem księgarni św. Wojciecha, Poznań 1936.

[2]) Utwór ten był nader popularny i „do dziś jeszcze żyje w ustach ludu... rozumie się w bardzo rozmaitych modyfikacjach“ (Roman Pilat: „Historja literatury polskiej“ t. I cz. II, str. 345, nakł. Gebethnera i Wolffa 1925). Ta „ludowość“ niezawodnie stała się tu przyczyną pomyłki.

niony postaciami pojedyńczemi oraz tłumami, ugrupowanemi umiejętnie na tle scen batalistycznych, krajobrazów itd. Kilkadziesiąt figur pierwszoplanowych, ujętych na sposób fresku, a więc raczej dekoracyjnie, z pominięciem szczegółów — ale każda z nich posiada ruch, życie, każda ma cechy indywidualne, po mistrzowsku częstokroć kilkoma śmiałemi linjami uwydatnione. Piotr Eremita i Ademar de Monteuil, Boemund i Tankred, Rajmund St. Gilles, księżniczka burgundzka Florina — oto kilka wybitniejszych z tych wizerunków, wykonanych ręką wprawną i pewną, przykuwających uwagę trafnością i wyrazistością przedstawienia.

Do najświetniejszych, najbardziej w naturze talentu p. Kossak leżących zaliczyć jednak trzeba wielkie sceny zbiorowe: entuzjazm rzeszy, zebranej w Clermont, po ogłoszeniu krucjaty, głód w Antjochji i napięcie sił duchowych krzyżowców w przededniu bitwy z Kerbogą, wybuch radości po wyzwoleniu Jerozolimy i ujrzeniu Świętego Grobu. W tych momentach wizja autorki staje się niezawodna, słowo jej brzmi prostotą, prawdą i mocą.

„Krzyżowcy" są i z tego względu zjawiskiem godnem uwagi, że stanowią jeden więcej przykład wzmożonego zainteresowania Średniowieczem, jakiego — w ciągu ostatnich lat kilkunastu — powieściopisarze nasi raz po raz składają dowody. W tym wypadku, w dziele p. Kossak, zwrot powyższy tem wybitniej się zaznacza, że ta cywilizacja Wieków Średnich, mimo cech nieokrzesania i pierwotności, wyraźnie całkiem okazuje swą wyższość gatunkową nad świetniejszemi napozór cywilizacjami Wschodu: bizantyjską i muzułmańską. Powrót do podstaw, do źródeł kultury naszej, w naturalny sposób przywraca nam wiarę w Europę. I to jest prawdziwą zasługą pisarzy, którzy, jak autorka „Krzyżowców", taki kierunek właśnie usiłują nadać naszej myśli i naszej wyobraźni.

JAN REMBIELIŃSKI

ŻYDZI W P. P. S. W R. 1905 i 1906

GDY w czasie pierwszej rewolucji rosyjskiej, która ogarnęła Rosję po klęsce poniesionej z rąk Japończyków, Polska Partja Socjalistyczna oświadczyła się za ścisłem współdziałaniem z „towarzyszami" rosyjskimi i starała się wszelkiemi sposobami przeprowadzić zasadę solidarności z ruchem rosyjskim, przeciwnicy socjalizmu twierdzili, że na decyzję taką wpłynęli żydzi, zajmujący stanowiska kierownicze w Partji. Uważna obserwacja rozgrywających się wówczas w Polsce wypadków, a potem zapoznanie się bliższe z dziejami ruchów społecznych w Polsce i polityką stronnictw socjalistycznych w ciągu pierwszego ćwierćwiecza XX stulecia, musiały każdego utwierdzić w tej opinji.

Żydzi lgnęli do socjalizmu polskiego, dzięki swemu temperamentowi i swej starej kulturze zajmowali w tym ruchu wybitne stanowiska i — zgodnie ze swemi instynktami i poczuciem narodowem żydowskiem — wyzyskiwali to wszystko na rzecz interesów żydowskich.

Nie uniknęła ich oddziaływania także Polska Partja Socjalistyczna, aczkolwiek w niej skupili się ludzie, którzy mieli program niepodległości Polski. Potwierdzają to w całej rozciągłości ogłaszane obecnie dokumenty i wspomnienia. Bierzemy oto do ręki wydaną niedawno książkę p. Michała Sokolnickiego („Czternaście lat"). Przynosi ona dużo faktów z życia P. P. S. w której autor przed wojną wybitną odegrał rolę, przynosi także ciekawe oświetlenie tych faktów. Pomijamy na razie rzeczy inne, pragniemy natomiast zwrócić uwagę na to, co p. Sokolnicki pisze o roli żydów w Partji w latach: 1905 i 1906.

W Centralnym Komitecie P. P. S. było dwóch wybitnych Polaków — Adam Bujno i Jan Bielecki, obok nich wszakże zasiadał w tej instytucji szereg żydów, a więc: dr. Sachs, Feliks Kohn, Maks Horwitz i Estera Golde. Wśród nich, a także w C. K., wybijał się dr. Sachs. P. Sokolnicki tak go charakteryzuje:

„Doktór Feliks Sachs wychowaniec warszawskiego uniwersytetu, żyd, w odróżnieniu od Horwitza mało noszący cech zewnętrznych swej rasy, o typie adwokata czy szefa banku, z umiarkowaniem w geście i spokojem w manierach, nadawał każdej sprawie i zebraniu autorytet kierowniczej stanowczości... Niektórzy, a w tej liczbie i ja, poznawszy Jana (pseudonim partyjny d-ra Sachsa), przypuszczali wówczas, że jest on subtelnemi i ukrytemi nićmi związany z wrogami programu i idei niepodległości Polski — socjalnymi demokratami, a przez nich z czynnikami obcemi poza Polską. Dzięki swej rozwadze i powściągliwości umiał on w każdym razie narzucić się oddawna organizacji partyjnej i... zdołał się przez szereg lat, mniejwięcej od 1900 roku, utrzymać się w Centralnym Komitecie".

P. Sokolnicki pisze dziś bez entuzjazmu o tych swoich dawnych towarzyszach partyjnych, odnosi się też krytycznie do rządzących w Partji żydów. Oto najbardziej charakterystyczny ustęp z jego pamiętnika:

„Inteligencja partyjna była nietylko wciąż skłócona, zajęta współzawodnictwem o władzę, pełna małych ambicyj na tle wielkiej sprawy, chorobliwie swarliwa i podzielona na wiele grup przekonaniowych i personalnych; ale przy bliższem poznaniu nie posiadała sama w sobie dość kultury i ideałów polskich. Nie mogłem przyznać ludziom takim jak Sachs, jak Kohn, jak Horwitz czy Estera Golde prawa stanowienia o programie niepodległości Polski"...

*

W sposób bardzo charakterystyczny zachowali się żydzi na zjeździe partyjnym, który się odbył we Lwowie w lutym r. 1906. Zjazd ten opisuje p. Sokolnicki bardzo obszernie. I słusznie: wszak na nim zaznaczyły się różnice, które później doprowadziły do rozłamu w P. P. S. i do wydzielenia się z niej t. zw. „Frakcji rewolucyjnej", do której z wybitniejszych żydów wszedł tylko Feliks Perl.

„Zjazd odbył się pod znakiem obałamuconej demagogji" — pisze p. Sokolnicki. — „Większość jego stanowili delegaci miejscowi, częściowo funkcjonarjusze, niedawno w rozgwarze rewolucji posłani przez C. K. R. na „robotę", uzależnieni od władzy partyjnej i sfanatyzowani przeciwnicy narodowego charakteru ruchu. Wielu żydów, którzy swą ruchliwością, rozagitowaniem i zacietrzewieniem osobistem nadawali przeważający ton zebraniu. Niepodobna było na tym zjeździe ani przemówić do rozwagi, ani ostudzić sztucznego gorąca atmosfery, ani wnieść nowej idei, ani bronić idei wogóle. Większość stanowiła zwartą falangę, nie mającą nic wspólnego z żadną ideą ani programem, lecz słuchającą ślepo pewnych wmówionych w nią wytycznych, i idącą stadem za rzuconym przez paru przywódców nakazem.

Tryumfowała bezapelacyjnie koterja. Jan, Jerzy i Anna (Sachs, Buyno i Posnerowa) kierowali tłumami i nastawiali wszystkie tajne sprężyny; Horwitz i Estera Golde stali w drugiej linji tego zespołu, złożonego zaiste zbyt jednostronnie".

Na zjeździe wydarzył się wypadek, opisany obszernie przez p. Sokolnickiego, a rzucający jaskrawe światło na psychologję i metodę rządzą-

cych w Partji żydów. Rzecz poszła o członka Wydziału Bojowego, noszącego pseudonim partyjny Wacław. Jeden z towarzyszy zażądał głosu poza porządkiem dziennym, by zakomunikować, jak oświadczył „rzecz straszną" i zawiadomić Zjazd o „ponurej zdradzie":

„Na jednem z tajnych zebrań konspiracyjnych w Płocku" — streszczamy przemówienie za p. Sokolnickim — „towarzysz Wacław informując towarzyszy, należących do miejscowego O. K. R., wyraził się w sposób uwłaczający o żydach. Mówca nie potrzebuje przytaczać szczegółów. Sam fakt obelgi rzuconej w twarz towarzyszom żydom w partji robotniczej wystarczy, aby rzecz osądzić i napiętnować. Wśród podnieconej tą mową atmosfery, gdy nabrzmiały wokoło wszystkie nienawiści i zawiści, drugi z towarzyszy zażądał natychmiast wydalenia Wacława z sali i kongresu".

Nad wnioskiem wyrzucenia Wacława z sali odbyło się głosowanie.

„Mogłem"—opowiada p. Sokolnicki—„stojąc w pośrodku w przejściu, obserwować dokładnie, kto głosuje. Głosowali za wnioskiem przeważnie żydzi, gdy przewodniczący zarządził kontrpróbę, to przeciw wyrzuceniu Wacława z sali głosowała większość — ale tylko dwaj żydzi: Stanisław Posner i Estera Golde. W gremjum zjazdowem żydzi nie stanowili większości delegatów i wskutek tego wniosek został odrzucony. To głosowanie wbiło się głęboko w moją pamięć. Ta sala pełna „czystych" klasowych frazesów, brzmiąca hasłami solidarności proletarjackiej i socjalistycznej, głosowała według wiekowych przesądów i zgodnie z instynktami rasowemi. Było to dla mnie oślepiającym widokiem i odsłoniło nagle rolę żydów w C. K. R. i w manifestacjach 1 listopada, w partji i w ruchu rewolucyjnym. Nie potępiałem ich równie, jak tego nie czyniłem dotychczas: działali w myśl własnych interesów, dobrze czy źle zrozumianego stanowiska społecznego, narodowego czy wyznaniowego; ale jako kierowników polskiej polityki i wielkich spraw publicznych naszego narodu miałem ich odtąd na oku, uważałem, że Polska nie może zależeć od ich rasowego, wyznaniowego czy narodowego egoizmu,

Przytoczyliśmy tak obszernie wyjątki z pamiętników p. Sokolnickiego dlatego, że odsłaniają one rzeczy ważne i istotne. Okazuje się, że w P. P. S. w okresie pierwszej „rewolucji" rosyjskiej, stanowiska kierownicze zajmowali żydzi i że oni właśnie poprowadzili Partję po drodze współdziałania i solidarności z ruchem rosyjskim, czemu przeciwstawiły się wówczas stanowczo żywioły narodowe polskie, przedewszystkiem stronnictwo demokratyczno-narodowe. Przeciw niemu zwróciła się cała nienawiść przywódców P. P. S., prawdopodobnie w pierwszej linji tych żydów właśnie. Od tego też czasu datuje się owa pasja z jaką rzucano wszelkie kalumnje na znienawidzoną „Endecję".

Wówczas, jak przedtem i potem, aż po, dzień dzisiejszy mieli żydzi, niezależnie od tego, do jakich należeli warstw czy stronnictw, swoją własną, żydowską politykę i usiłowali ją narzucić narodowi polskiemu pod pozorem, że jest ona właśnie polityką polską.

V — r.

NAUKA i LITERATURA

REWOLUCJA W NAUCE

ROZBICIE przy końcu XIX wieku atomu, w którem tak wielką rolę odegrała nasza rodaczka Curie-Skłodowska, zapoczątkowało nową epokę w kosmologji, bo wszechświat w najdrobniejszych szczegółach swej budowy odsłonił niejako dla nauki swoją barjerę, jaką był niepodzielny atom.

Potem, w początkach XX-go wieku, Henryk Poincaré zapoczątkował „teorję względności", oświetlającą szeroko horyzonty wszechświata — teorję, którą wskutek śmierci jej autora, dopiero Einstein wykończył.

Także w początkach naszego wieku pojawiła się pierwsza „teorja kwantów".

To były jednak początki kosmologji, które dopiero w czasie wojny światowej zmieniły się w epokę wielkiej rewolucji w naukach ścisłych, zawdzięczając najnowszym teleskopom w obserwatorjum na górze Wilsona w Kalifornji.—Prace obserwacyjne przy użyciu reflektorów 72-u i 100-u calowych pokazały takie dziwy, przy zastosowaniu spektroskopu, spektrografu i fotografji, że badacze aż do roku, mniej więcej, 1924 zupełnie zamilkli, nie wierząc prawie własnym badaniom i zmysłom.

Ale to była cisza jakby przed żywiołową burzą, zwiastującą pioruny, lub wśród ludzkości—przed rewolucją.

Nagromadzone obserwacje spotkały się w r. 1924 z „nową teorją kwantów", która rozjaśniła mroki swojej poprzedniczki i dała potężny bodziec do ogłoszenia tego, co było jeszcze jako niepewne ukrywane.

I posypały się publikacje kosmologiczne luminarzy nauki, ale już czerpane z badań astronomicznych, które nagromadziły się w takiej liczbie, że rozsadziły ciszę milczenia.

Wybuchła zatem nareszcie istna rewolucja w nauce, która dopiero teraz nieco ucicha po utrwaleniu i odsłonięciu bardzo wielu odkryć zarówno w fizyce, jak i w astrofizyce, przechodząc w spokojniejsze tempo i oświetlając cały już kosmos od największej małości, aż po bezkresy makro-kosmosu.

Odkrycia te jednak obalają błędy naukowe, na jakich się wychowywał i rozrastał w ciągu paru wieków materjalizm, a nawet burzą niektóre dotychczasowe aksjomaty, jak np. niezniszczalność materji.

*

W takiej to porze ukazała się w marcu r. b. na półkach księgarskich książka pod tyt. „Materjalizm wobec nauki", której autor, p. Stanisław Majewski starał się streścić w jednym tomie, stanowiącym jednak już trzeci tom cyklu jego prac, ukazujących się co kilka lat pod tyt. „Z tajemnic bytu".

„Materjalizm wobec nauki" stanowi już tom III, być może zamykający cały cykl, którego pierwsze dwa tomy warte są przeczytania przed zapoznaniem się z nowym tomem, bo przygotowują umysł czytelnika do lepszego zrozumienia świeżo wydanej książki, a noszą tytuły: „Wszechenergja wobec Materji i Życia" oraz „Duch wśród Materji".

Nowowydana praca oświetla jednak bardzo starannie cały przewrót w wyżej wymienionych naukach ścisłych — przewrót, z natury rzeczy wiodący do upadku materjalistycznych poglądów na wszechświat tak dzisiaj silnie jeszcze oddziaływających na światopoglądy, a obniżających moralność ludów i rodzących w krajach opanowanych przez marksizm—bezbożność.

Książka zatem Stanisława Majewskiego jest wielce pożądana dla całej wykształconej ludności naszego kraju i powinna być czytana [1]).

M. N.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Witold Bunikiewicz. „Życie w kolorach". Warszawa. F. Hoesick.

Bunikiewicz, znany krytyk sztuki malarskiej, doktór filozofji Uniw., wystąpił po raz pierwszy w literaturze poematem „Wiosna", którym sławił piękno i radość życia. Po wielkiej wojnie wystawił w teatrze Miejskim we Lwowie kilka sztuk teatralnych „Sowizdrzały", „Wazon i róża", a jego lekka komedja „Piosenki ułańskie" grywana jest stale

[1]) Cena nowej pracy p. St. M. jest dostępną, bo wynosi 6 złotych, a resztki dawnych dwu tomów dla kupujących nową są obniżone do 2 złotych za każdy tom.

przez wszystkie teatry żołnierskie. Pogodny optymistyczny ton i doskonała konstrukcja tych utworów i szeregu nowel o tematach historycznych zjednała Bunikiewiczowi i wśród młodego pokolenia pisarzów, wybitne stanowisko.

Tematem powieści „Życie w kolorach" są stosunki przedwojennego szkolnictwa w jednem z miast galicyjskich, a następnie epizody walk armji austrjackiej z nieprzyjacielem. Zmysł niefrasobliwego humoru tworzy coraz zabawniejsze sytuacje, pulsuje temperamentem. W sylwetkach uczniów i profesorów gimnazjum, oraz momentach z wojny daje zaprawiony solą satyry obraz czasu.

Poza tem zaletą książki jest czysty, artystycznie archaizowany, rdzennie polski język, daleki od mowy wielu utworów bieżącej beletrystyki, mowy, którą trafnie określił Żeromski jako „gwarę inteligencji". Mowa powieści Bunikiewicza barwna, swobodna, a nieskażona literackim żargonem jest jej nieprzemijającą wartością. (A. W.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

„ARKADY"

DRUGI, tegoroczny numer „Arkad", rozpoczyna artykuł St. P. Koczorowskiego „O pięknie starych druków". Tytuł ten jest zwodniczy: zagadnienie estetyki książki wcale nie stanowi treści tego artykułu. Autor popełnił błąd: o zbyt wielu rzeczach chciał mówić jednocześnie, w rezultacie każdą poruszył tylko powierzchownie. Błędu tego ustrzegł się jego sąsiad, E. Norwerth, wybierając sobie do omówienia tylko jedno zagadnienie, z wielu zagadnień architektury. „Plastyka muru" Norwetha, rzecz o kombinacjach efektów fakturalnych nawierzchni murów, dzięki temu jest artykułem b. ciekawym, a zarazem „fachowym", choć w przystępnej formie podanym.

Uwagi W. Telakowskiej o sztuce hafciarskiej noszą charakter informacyjno-recenzyjny i zostały skreślone spowodu wystawy współczesnego haftu w IPS-ie, wystawy grupy pań, wykładających w naszych szkołach rękodzielniczych, pionierek odrodzenia tego pięknego rękodzieła.

F. Walczowski pragnie zwrócić uwagę na, traktowany dziś po macoszemu przez naszych artystów, dział sztuki jubilerskiej i w szeregu reprodukcyj zobrazowuje wysiłki w tej dziedzinie pracowni jubilerskiej E. Danielewiezówny w Łodzi.

W. Podoski pisze o sekreterze. Artykuł ten ilustruje 8 reprodukcyj sprzętów zabytkowych, z rozmaitych epok, poczynając od renesansu, kończąc na Biedermayerze. Ponieważ W. Podoski to ja—niech inni powiedzą, jak mi się rzecz udała. Nawiasem tylko dodam, iż czas już ostatni, by ktoś powołany zabrał się do historji naszego meblarstwa, które przecież niezawsze kopjowało obce wzory i w pewnych okresach czasu tworzyło własne, rodzime odmiany sprzętu, nie przestrzegające ściśle porządku form stylowych (np. Biedermayer wileński, niektóre meble z czasów Księstwa Warszawskiego i t. p.)

Zeszyt zamyka T. M. Narolewski, kreśląc historję kart do gry, z uwzględnieniem oczywiście kart polskich. Artykuł ten gromadzi wiadomości, znane już interesującym się tą gałęzią sztuki graficznej, a niewiadome szerszemu ogółowi. Z tego powodu ma charakter popularny, co nie jest oczywiście wadą. Niepokoi nas tylko, że Narolewski pisze dosłownie o wszystkiem: o koronkach, kartach, sztuce religijnej... Wartość artykułu podnoszą przedewszystkiem załączone podobizny kart polskich; niektóre z nich — o ile się nie mylę — zostały reprodukowane poraz pierwszy. W pomnikowem dziele o kartach, D'Allemagne'a, Polsce poświęcona została jedna plansza.

Zeszyt 3-ci „Arkad" i 4-ty, wielkanocny, który się już ukazał, omówię innym razem oddzielnie, ze względu na wagę niektórych, zawartych w nim artykułów (np. dr. Lauterbacha, Narolewskiego—o dewocjonaljach).

WIKTOR PODOSKI

MUZYKA

NINIEJSZY SZKIC POLEMICZNY mógłbym zacząć od słów tak np. sformułowanych: „Żyjemy w okresie wielkich przemian duchowych, politycznych i gospodarczych...", gdyby rzeczywiście istniała potrzeba podobnego sformułowania. Każdy sobie przecież zdaje sprawę z owego fermentu, twórczego fermentu, w którym niejeden obija się bezradnie wraz ze swoją bladą życiową egzystencją, bojąc się przystać na ochotnika do jednej z walczących stron. A walka może być nieraz wynikiem przypadku. Tak, jak w ostatnim numerze „Muzyki", gdzie się zetknęły wrogie artykuły Maurycego Ravela oraz Brunona Waltera.

Ravel pisze na temat muzyki w dobie industrjalizacji. Jest to wyznanie wiary urbanistycznej, któregoby się nie powstydził jego rodak Milhaud, autor „Katalogu maszyn rolniczych". Nie wiemy kiedy wyznanie owo zostało nakreślone — jeśli dzisiaj, jest ono stanowczo spóźnione. Zresztą— stwierdziłem kiedyś w jednej ze swoich recenzyj, iż Ravel, mimo opinji sławiącej jego sztandarową współczesność, reprezentuje już bezprzecznie typowe „wczoraj". W opinji tej podtrzymuje mnie takie oto wyczytane zdanie: „Tendencją naszych czasów jest widzieć herolda postępu nie w dyplomacie czy żołnierzu, lecz w kierowniku przedsięwzięć gospodarczych. Da się to stanowczo wyrazić i w muzyce. I trzeba to wyrazić, jeżeli muzyka dzisiejsza ma być wiernem odzwierciadleniem życia narodów".

Nieprawda. Nie tylko nie trzeba tego wyrazić, ale nie można. Stanowczo. I jeśli się prawi o postępie, należałoby rzeczywiście iść z duchem czasu. Wierzymy że z wiekiem trudniej to przychodzi... Ale słuchajmy dalej. Ravel artykuł zaczyna takiem zdaniem: „W ciągu całych stuleci muzyka ludzkości czerpała wzory z odgłosów natury. Plusk, fal, szmer liści, śpiew ptaków, ryk dzikich zwierząt: wszystko to ujęła muzyka w formy nieśmiertelnego piękna. Ale wszystko to przecież już nie istnieje"(!) Przytoczę teraz również początek artykułu, ale o Ravelu, pióra Karola Szymanowskiego i także na łamach „Muzyki": „Słuchając muzyki Ravela odbiera się nieraz optyczne niemal wrażenie słońca tkającego złotą, pląsającą sieć na falach południowego morza. W sztuce tej pełno powietrza, lśnień tajemniczych..." i tak dalej, poczem „...to znów nadciąga obłok: morze mierzchnie, nabiera połysku stali: chwila smutku zamkniętego w sobie, bez zawodzeń i skarg, bez krzykliwego gestu: nagle zerwie się silniejszy podmuch wiatru, żywiej zakotłują się fale..."

A więc — kto ma, u djabła, rację? Ravel oświadcza, iż jego „Bolero" zawdzięcza swe powstanie fabryce, i że zamierza go wykonać na tle fabryki „..celem wypuklenia charakteru i treści tego dzieła". Trudno — musimy wierzyć. Ale się nam jakoś poczyna wszystko w głowie nie mieścić.

„Zdumiony jestem" — pisze — „że wśród kompozytorów żaden dotychczas nie opracował muzycznie cudów wytwórczości przemysłowej. Honegger, Mossołow, Schönberg i inni czerpali już z maszyn nieco natchnienia" a przecież „...Maszyna, ten potężny potwór, uległy woli ludzkiej, triumfuje jednakże nad duchem człowieka, który ją stworzył. Ileż mo-

że ona dać bodźców naszej wyobraźni twórczej! Muzyka nasza z pewnością odzwierciadli wiernie i wzniośle ducha naszej epoki, w której zjawiła się maszyna, aby ułatwić życie człowiekowi!“ Odzwierciadli wiernie i wzniośle... Ravel nawet daje doskonały temat do takiego wzniosłego poematu: „Beethoven wyidealizował życie Napoleona w symfonji; dlaczego współczesny kompozytor nie miałby tego samego uczynić z życiem jakiegoś genjalnego „króla“ przemysłowego?“ Jeśli już operujemy analogją, przypomnę, iż Beethoven szczerze żałował swojej koncepcji...

Pamiętamy dobrze film o gigantycznem życiu wielkiego „króla“ przemysłowego. Reżyser — René Clair, tytuł: „Niech żyje wolność!“ Zakończenie przedstawia moment ułatwionego życia: robotnicy łowią rybki. Na wędkę. Szczęście, szczęście, szczęście... tylko, że ten, któryby mógł najpełniejszemi garściami zeń czerpać, z własnej i nieprzymuszonej woli zamienia się we włóczęgę i idzie w świat. Z radością, prawdziwą, niekłamaną radością.

Ravel zachwyca się miastem i maszyną! Ravel głosicielem „nowej rzeczowości“!

A tymczasem...

Odwracamy parę kartek „Muzyki“. Rzuca nam się w oczy hurra — bojowy tytuł opatrzony wykrzyknikiem: „Precz z „nową rzeczowością“! Autorem artykułu jest niemiecki (doniedawna) rodak Ravela, Bruno Walter. Już w pierwszych słowach bierze w obronę romantyzm, by w końcowych rzucić z pogardą:“ „Nowa rzeczowość“, płód jałowej teorji, opartej na nieporozumieniu, już niebawem zostanie odrzucona, a ślad tego hasła zostanie tylko w nielicznych partyturach, skazanych na zapomnienie“. Ostro, może nawet i napewno nawet za ostro. „Nowa rzeczowość“ nie była wcale jałową teorją, ale raczej teoretycznem uzasadnieniem rodzących się kiedyś przemian, była stwierdzeniem faktów, których nie da się nawet najdzielniej walczącym piórom wymazać z historji. Argumenty Brunona Waltera nie przekonywają jednak, mimo iż autor czuł prawdę. Źle ją jednak pojął i sformułował. Gdy pisze, że „coraz częściej słyszy się dziś hasło: „Wróćmy do romantyzmu“, a potem zapytuje „...dlaczego „wróćmy“? Przecież romantyzm bynajmniej się nie przeżył!“,—to jesteśmy przekonani, że mamy do czynienia jedynie z wadliwem sformułowaniem, częstem myleniem dzisiaj romantyzmu z idealizmem. Gdy jednak pisze, iż „...w muzyce romantyzm jest sztuką samotnych“, widzimy, że również i źle pojął rozumem podświadomie wyczutą treść zagadnienia. A już zupełnie myli się, gdy twierdzi, iż mahlerowska „Pieśń Ziemi może dzisiaj bardziej wstrząsnąć sercami słuchaczy, aniżeli kiedyś“. „A więc“— konkluduje Walter —„przedmiotem prawdziwej sztuki może być w muzyce każda sprawa, każda rzecz, jeżeli w jej oddaniu nie będziemy się trzymali postulatów „rzeczowości“, o których tak dużo mówi się i pisze w dobie obecnej“. Zgoda, jeśli „rzeczowość“ pojmiemy jako „odczłowieczenie“, a tak ona wygląda w najbardziej skrajnem ujęciu. Ale trudno się zgodzić na stwierdzenie, że „póki na ziemi istnieją ludzie, żyć będzie romantyzm; ostatnim romantykiem będzie ostatni człowiek na ziemi“.

W gruncie rzeczy dyskutuję w danym razie jednak o terminy, formę wysławiania się. Spór między Ravelem a Walterem dotyka istoty zagadnienia — jest walką. Znamienną, jakże znamienną!

Na zakończenie uwaga ma zupełnie inny temat. Redakcja „Muzyki“ usprawiedliwia nieregularne ukazywanie się swych numerów cofnięciem subsydjów ze strony Min. W. R. i O. P. Nie rozumie zupełnie, dlaczego to się stało... Przecież w ostatnich czasach miesięcznik zmienił swe oblicze dość wyraźnie. Zamieścił i rozprawkę o sztuce państwowotwórczej, wydał monografję zbiorową o Legjonach, zamieścił nawet wiersz Kostka-Biernackiego i nic. Od czasów gdy królował w piśmie duch Weissmanna, przeszedł do czasów, w którem od paru lat stale, w każdym numerze poświęca się paręset wierszy hymnom narodowym i nic. W ostatnim numerze pisze dr. Zetowski na temat „Jeszcze Polska...” na ziemiach słowiańskich”, w następnym ma iść przyczynek tegoż dr. Zetowskiego poświęcony pieśni „Boże coś Polskę...” Radzimy przeczytać ostatni komunikat Polskiej Akademji Literatury. Tam pod obrady wchodzi już nowy hymn państwowy (wynik konkursu *Express*'u) Referentami są Lessman i Irzykowski.

Należy bardziej obserwować życie...

W. NARUSZ

FILM

BAŁTYK: „Róża”, reż. Józef Lejtes.

Tak się zdarzyło, iż przed obejrzeniem tego filmu, wpadł mi w ręce numer czasopisma, które przeprowadzało ankietę wśród swoich czytelników, na temat: czy wskazane jest filmowanie arcydzieł literatury? Głosy były podzielone; jedni twierdzili, że tak, że zamiast bzdurnych scenarjuszy należy brać za osnowę utworów rasowe dzieła literackie. Drudzy byli przeciwnego zdania, uważając, że dotychczasowa praktyka wykazała raczej ujemne skutki podobnych poczynań, gdyż arcydzieła literatury w przeróbkach filmowych były niemiłosiernie kiereszowane, przyczem pierwotny ich sens i wartość niszczono.

W toku wymiany zdań nikt, zdaje mi się, nie wspomniał o nierzadkich wypadkach poznania przez widza kinowego (jeśli się zważy na jego często skromną ogładę literacką) dzieła literatury bezpośrednio z ekranu, zanim jeszcze przeczyta je w książce. Ta kategorja widzów, której bynajmniej nie należy lekceważyć, jeśli chodzi o możliwości wychowawcze kina, pozbawiona jest sprawdzianu porównawczego i relację reżyserską przyjmuje z dobrą wiarą, jako zgodną z oryginałem.

Wspominam o tem dlatego, bo ta okoliczność, jak się później okaże, w omawianym przez nas wypadku będzie szczególnie ważna. Autor filmu, J. Lejtes, należy bezsprzecznie do najinteligentniejszych wśród grona pracujących u nas reżyserów. Jego film „Młody las” jest, jak dotychczas, najlepszym filmem krajowej produkcji. I tam była mowa o carskiej policji, żandarmach i t. p. „słupajkach”. Ale obrazy te nie przesłoniły ani zasadniczego sensu, ani głównego tematu. Natomiast w „Róży”, sfilmowanej, sceny żandarmsko-policyjne urastają do poziomu zdarzeń i faktów najważniejszych, w perspektywie całości -- pierwszoplanowych. Wrażenie to potęguje jeszcze czynnik artystyczny: b. dobre wyreżyserowanie tych scen, tkwiące w nich walory plastyczno-kompozycyjne, oraz suggestywna, realistyczna gra występującej tu, starej gwardji aktorskiej. W rezultacie cały sens utworu, p o z a w i z u a l n y, budzi w nas ciągłe zastrzeżenia lub sprzeciwy.

Wspomina się w filmie o walce o niepodległość, o pracy dla ojczyzny, ale ani tej walki, ani pracy nie pokazano; widz kinowy nie wie, jaką ona była. (Drukowanie ulotek w tajnej drukarni, przemowy na wiecach, to sposoby walki, a nie jej treść, te same sposoby stosują przecież dziś u nas komuniści). Natomiast bardzo obficie jesteśmy poczęstowani — jak już wspomniałem — obrazami prześladowań i znęcania się policji nad wyłapanymi konspiratorami. Oglądany wizerunek wyobraża więc męczenników, a nie bojowników. W satyrycznej scence pokazano nam także niewierzących „Tomaszów”, kawiarnianych polityków, którzy tamtych nazywają szaleńcami i nie wierzą w sukces ich sprawy. Scenka ta ma obrazować małość i gnuśność ówczesnego społeczeństwa.

Nie widząc walki, nie mogąc ocenić na jakich przesłankach nietylko serca, ale i rozumu, była ona oparta, „szary człowiek” z kina znowu nie jest pewien, czy ci „obojętni” tak zupełnie nie mają racji. Gdy w zakończeniu filmu widzi, że skończyło się na wyłapaniu, zamęczeniu, lub skazaniu na śmierć wszystkich walczących o niepodległość (tylko dwu zdołało uciec), nasunie mu się oczywiście myśl, czy ci kawiarniani politycy nie byli jednak przewidujący. Utwór artystyczny, który się kończy akordem klęski (wtrącony czyjś *happy-end* osobisty nie ma tu znaczenia) nie wywoła uczucia krzepiącej nadziei. Wiemy jakie autorzy filmu mieli naprawdę intencje, lecz dozowanie scen, o różnej treści i różnej emanacji uczuciowej, zostało przeprowadzone

tu w taki sposób, iż wrażenie ostateczne wypada zupełnie nie po myśli p. Lejtesa i osób z nim, przy filmie, współpracujących.

Pozostaje do omówienia strona artystyczna filmu. W tym zakresie można mu przyznać niepoślednie zalety. Zdjęcia są piękne, kompozycja treści plastycznej ekranu zawsze staranna, a w wielu wypadkach ciekawa i pomysłowa. Sceny zbiorowe (często słaba strona naszych filmów) wyreżyserowano b. dobrze, nadając im należytą werwę i ruchliwość i fotografując je odpowiednio. Natomiast szwankuje do pewnego stopnia udźwiękowienie: niektóre głosy, zwłaszcza na początku, huczą jak z beczki. Zawiodła także Eichlerówna, w roli Krystyny; grała bez przekonania i w sposobie wypowiadania kwestyj miała jakąś manierę.

FILHARMONJA: „Jej ekscelencja babka”, reż. Reinhold Schünzel.

Powodzenie kilku wyświetlanych u nas komedyj wiedeńskich skłoniło właścicieli kin do dalszego sprowadzania podobnego rodzaju utworów. Oczywiście następny transport nie dorównał jakością pierwszemu. Komedja wymieniona w tytule, została nakręcona w Niemczech, jest to utwór niemiecki, z obsadą, znaną nam już częściowo z filmów austrjackich. Główną rolę gra znakomita artystka wiedeńska, starszego pokolenia: Adela Sandrock.

Jest w tej komedji kilka motywów całkiem dobrych i świeżych. Np. postać babki despotki, która zachowuje się spokojnie, cichutko i wcale nawet głosu nie podnosi, a mimo to wszyscy się przed nią trzęsą. Scena, gdy papinkowaci synkowie i wnukowie chodzą za babką po salonie, jak manekiny, ma swą filmową wymowę i należy do najlepszych. Także dobry jest motyw parodji konserwatywnej angielskiej rodziny (rzecz dzieje się w Anglji), której głowa ucharakteryzowała się na dziadka obecnego króla, Edwarda. Z zacięciem charakterystycznem został odtworzony bal z całą galerją „mamutów”.

Reżyser nie wyzyskał jednak tych wszystkich pomysłów dostatecznie, umieszczając je niejako na marginesie głównego wątku, opartego na daleko bardziej już zużytym motywie, komedji nieporozumień.

KANDYD

ZMARLI

Ś. P. STANISŁAW SZPOTAŃSKI

CIĘŻKĄ krzywdę zrządziła literaturze polskiej śmierć, zabierając tak przedwcześnie ś. p. Stanisława Szpotańskiego. Zmarł nagle 17-go b. m. Tegoż dnia po jego śmierci ukazał się jeszcze w „Kurjerze Warszawskim“ jego fejleton o poglądach historyka Alberta Mathiez na Rewolucję francuską.

Podobało się Szpotańskiemu rewizjonistyczne stanowisko Mathiez'a. On sam bezustannym był rewizjonistą. Otwartą miał głowę i nie bał się myśleć. Był to pisarz z charakterem. Nie bał się prawdy, nie chował się ze swoją polskością za europejskość, za wszechludzkość, czy za demokratyczność, choć wszystko to jako pisarz polski reprezentował. Wiedział, co winien Polsce, że mógł być reprezentantem cywilizacji zachodniej, jakie wartości polskie do jej skarbca wnosił. Wiedział, że te wartości zawdzięczał nie temu, co w Polsce było kosmopolitycznem, lecz temu, co było z jej wnętrza nacjonalnego. Dużo wiedział i doskonałym był szermierzem i to budziło dla niego respekt.

Bojowych możliwości swoich nie wyzyskiwał należycie tak, jakby chciał. Złożyło się na to wiele okoliczności, przedewszystkiem związanych z potrzebą zarobkowania piórem, niewątpliwie też względy na koneksje z czasów młodości, kiedy należał do organizacji socjalistycznej. W każdym razie w swem pokoleniu, tak bardzo zachwianem w dążeniach narodowych, odznaczał się niezależnością stanowiska publicystycznego. Zawdzięczał ją wykształceniu historycznemu i filozoficznemu, nabytemu podczas długoletnich studjów w Paryżu. Do poznania duszy polskiej, specjalnie w jej dziejach najnowszych, doszedł przez studja nad epoką emigracji polskiej w Paryżu z jej punktem centralnym w Mickiewiczu. Z tego wysokiego punktu ujrzał drogi historyczne dawnej Polski i, przez zbadanie mesjanizmu, zadatki życia duchowego Polski na przyszłość.

Świadczy to chlubnie o krytycyzmie naukowym ś. p. Szpotańskiego, że potrafił zapanować nad materjałem tak świeżym, nie obeschniętym jeszcze z żywych a legendarnych lub partyjnie pielęgnowanych tradycyj, a więc grzązkim dla ludzi uczuciowych i doktrynerów. Studja nad tem węzłowem zagadnieniem dziejów duszy polskiej, wytwarzającej dla siebie nową jaźń w dantejskich mękach czyśćcowych, nadały kierunek i barwę wszystkim twórczym wysiłkom pisarskim Szpotańskiego.

Niema wśród pisarzy polskich na przełomie w. XIX i XX nikogo, ktoby nie zawdzięczał światopoglądu narodowego Mickiewiczowi i jego epoce. „My wszyscy z niego“— powtarzamy do dziś za Krasińskim. Ś. p. Szpotański zrobił wiele, aby tę szkołę unowożytnić i uprzystępnić nowym generacjom.

Jako badacz duszy Mickiewicza dał nam dwie kapitalne prace. Na zlecenie krakowskiej Akademji Umiejętności, jako młody adept studjów historycznych, opracował „Archiwum Filomatów“, potem zaś w Paryżu napisał trzytomowe dzieło „Adam Mickiewicz i jego epoka“. Akademja wydała przedtem jego monografję o Maurycym Mochnackim.

Pobyt Szpotańskiego w Paryżu przeciągnął się do roku 1925. W czasie wojny pracował przy Komitecie Narodowym, a potem spożytkowany był przy poselstwie polskiem jako kierownik działu propagandy. Gdy okazało się, że jest nowym ludziom niedogodny, przeniósł się do Warszawy. Tutaj musiał dawny system pracy naukowej zamienić na bardziej wydajny.

I oto mamy w nim odtąd publicystę, powieściopisarza i dramaturga. Spożytkowuje w tych dziedzinach nabytą wiedzę historyczną i znajomość świata. Pracując pośpiesznie, wydaje szereg utworów mniej więcej w tym porządku: W r. 1926 powieść „Bez słońca” (powstanie listopadowe), w r. 1928 — „Synowie klęski“ (z życia emigracji paryskiej), 1929 — „Prometeusze“ (dzieje legjonu mickiewiczowskiego), oraz „Odloty”. Wystawił w tym czasie sztukę p. t. „Stefan Batory”. W r. 1930 wydał powieść p. t. „Bez ziemi i nieba” na tle ruchów chłopskich w Galicji, w r. 1931 powieść „Wróżka”, w r. 1933 powieść na tle społeczno-obyczajowem p. t. „Bez miejsca na świecie”, w r. 1934 znowu powieść opartą na motywach historycznych, p. t. „Pustowojtówna“.

Zapewne ukażą się w książce sylwetki, które ostatniemi laty ogłaszał p. t. „Ludzie listopadowi“, „Ludzie styczniowi”. Wzmiankować tylko można, bo któżby je zliczył, o rozrzuconych w prasie artykułach ś. p. Szpotańskiego, literackich bądź publicystycznych. Podnosiły one stopę prasy warszawskiej swoją świetną formą i kulturą myśli.

*

Byłoby ujmą dla pamięci zmarłego, gdybyśmy pominęli w dziejach życia ś. p. Szpotańskiego pomoc, jaką mu dawała żona. Była ona wspólniczką jego prac naukowych, czego nie taił ś. p. Szpotański przed przyjaciółmi.

Do życiorysu dodać trzeba: ś. p. Szpotański urodził się 1880 r. w Suchcicach ziemi Piotrkowskiej w domu ziemiańskim. Studjował na uniw. Jagiellońskim.

W r. 1925, kiedy przystępowaliśmy do wydawania „Myśli Narodowej”, jako organu kultury polskiej, ś. p. Szpotański życzliwie plan nasz popierał i w pierwszym numerze zamieścił programowy artykuł „Chłop polski”.

Człowiekiem był prawym i szlachetnym, żywo reagującym na nieprawości. Cieszył się też powszechną sympatją.

Z. W.

Nie skąp pieniędzy na pracę narodową!

POKŁOSIE

WOŁANIA NA PUSTYNI

„SANACJA“ nie ustaje w chwalebnem poszukiwaniu ideologji i szerszych kół, które taką ideologję, o ile się ją szczęśliwie znajdzie, mogłyby w czyn wprowadzić. Przyznać też trzeba, że niekiedy organy sanacyjne stosują właściwą metodę, mianowicie stwierdzając, że z obozem pomajowym jest kiepsko, starają się dociec przyczyn takiego opłakanego stanu i wykrywszy je szukać lekarstwa.

Oto we Lwowie wychodzi „kombatancki” tygodnik „Reduta”. Czytamy w nim taką charakterystykę spadku po B. B.:

„Omawiając niegdyś schedę, pozostawioną przez Bezp. Blok stwierdziliśmy, że jedną z pozycyj tego spadku jest zobojętnienie społeczeństwa dla wszelkiej zorganizowanej pracy publicznej. Kto przeszedł „szkołę” Bloku, najchętniej na dłuższy czas wycofuje się na „samotną skałę” życia indywidualnego. Od życia publicznego odgradza się murem biernej opozycji, której przełamanie należy, jak wiadomo, do rzeczy niełatwych”.

Po tak wyraźnem podkreśleniu niszczycielskiej działalności Bloku, pisze dalej:

„Bezpartyjny Blok w znacznej mierze obszedł te przeszkody (niechęć społeczeństwa) jednocząc pod swą firmą bardzo znaczną część społeczeństwa ale za cenę nader wysoką. Oto zaapelował do oportunizmu. Przekonał ludzi, że korzystnie i bezpiecznie jest do Bloku należeć i nawet do Bloku uczęszczać, natomiast niebezpiecznie jest od Bloku stronić. Motywy te istotnie zdziałały cuda, ale też pozostawiły w psychice społeczeństwa dość głębokie ślady. Bo dzisiaj w dalszym ciągu pojmuje się pracę publiczną jako problem interesu. Od istniejących i powstających organizacyj oczekuje się głównie jednej legitymacji: jakie mają wpływy, która osobistość za niemi „stoi”, jakiego rodzaju awans lub asekurację daje karta członkowska... „Gdyby nawet na czele tej akcji stanęła osobistość o wysokim i niespłowiałym autorytecie, jeśli tylko zaapeluje do bezinteresowności, niczego nie przyrzekając i niczego nie ofiarowując, będzie tak samo musiała zaczynać od fundamentów i iść szlakiem ewolucji“.

W tem przedstawieniu sprawy trzeba tylko poprawić zbyt delikatne określenie „zaapelował do oportunizmu“. Postawmy na to miejsce trafniejsze „wezwał do koryta“, a będziemy mieli dość wierny obraz tego biegu naprzełaj wszelkiego rodzaju karjerowiczów i łowców w mętnej wodzie, jaki Blok wywołał i tej selekcji braku charakterów, jaką przeprowadził.

Z takim materjałem dalej jechać nie można, trzeba entuzjazmu, pisze inny tygodnik sanacyjny „Jutro Pracy“, organ kilku posłów sejmowych, między innymi p. Ducha. Pismo to, jak się czytelnicy przekonają, hołduje manierze niektórych pisarzy, którzy np. tężyznę wojskową swoich bohaterów uwydatniali przez to, że kazali im co drugie słowo sypać kroćsetfurbeczkami piorunów. Oto jego wywody, a zarazem próbka stylu:

„Fermentom gnilnym konsumenckiego światopoglądu, „narodowej“ bezmyślności endecko-hitlerowskich bękartów, świadomym i nieświadomym heroldom rozkładu społecznego, opłacanym przez marxistowskie agentury, wszelkiego typu emerytom duchowym — przeciwstawić trzeba entuzjazm, niemniejszy i nie innego gatunku jak wtedy, gdy lat temu dwadzieścia hasło niepodległości w czyn obracać się zaczynało. Ani nasz temperament narodowy, ani tradycja, ani sytuacja międzynarodowa, ani stopień lojalności naszych sąsiadów, ani położenie materjalne i samopoczucie psychiczne trzydziestu czterech miljonów obywateli polskich, nie uprawnia nas do bagatelizowania tych źródeł entuzjazmu, które jeszcze tlą, do pogardliwego wynoszenia swej konsumenckiej duszy nad wyzwalanemi siłami ludzi czynu“.

Słusznie, nic nie uprawnia do bagatelizowanią entuzjazmu, ale skoro się tyle czasu kultywowało „konsumencki“ sposób ujmowania działalności publicznej, to zawrócić nie łatwo, tembardziej, że „entuzjaści“ z przed dwudziestu lat konsumują dziś potężnie jako członkowie legjonu zasłużonych...

Od słów przechodzi się jednak do czynów i poszukiwanie nowej organizacji społecznej przybiera realniejsze kształty. Przed tygodniem obradował w Warszawie nadzwyczajny zjazd zarządu głównego Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny, przyczem obradom nadano charakter szczególnie uroczysty przez udział honorowego prezydjum Federacji.

Powzięto tam szereg uchwał, między innemi stwierdzono, że „powołanie jaknajrychlej do życia obozu politycznego o jasno zarysowanym programie ideowo-politycznym a po myśli ideologji marszałka Piłsudskiego—jest palącą koniecznością“.

Dowiadujemy się więc z tego, że „sanacja“ nie ma dotychczas jasnego programu ideowo-politycznego, i że chce temu brakowi zaradzić. Bardzo słusznie, tylko odrazu nasuwa się pewna wątpliwość. Oto narzędziem, środowiskiem powstania takiego obozu politycznego ma być Federacja gen. Góreckiego. Być może, że tam przetrwał nienaruszony ów entuzjazm z przed dwudziestu lat, ale z drugiej strony wiemy, że jednym z cementów, spajających Federację, są ubezpieczenia na życie. Czy więc tu znów nie spotkamy się z owym apelem do „oportunizmu“, o którym pisze „Reduta“?

Te głosy wołające na pustyni, to forsowne szukanie entuzjazmu przez tych, którzy tak jeszcze niedawno jedynymi jego nosicielami się mienili, byłoby komiczne, gdyby jednocześnie nie uwydatniało tragicznych spustoszeń, jakie „oportunistyczne“ rządy „sanacji“ w społeczeństwie poczyniły. Na szczęście, ruch narodowy na brak entuzjazmu uskarżać się nie może.

ARGUS

NA MARGINESIE

— „Było tak!“

— Jakże można utrzymywać, że było tak, kiedy było inaczej?

— Śmieszne gadanie! Miałem napisać: „Było inaczej”?

*

Urywek z polemiki literackiej.

...„Ignoranci, ludzie bez odrobiny smaku mniemają, że gdy się pisze p o w i e ś ć (podkreślamy: powieść, dzieło sztuki), to koniecznie rzecz trzeba przedstawić tak, jak była w historji, a nie tak, jak powinna była być. Czyż od czasów Taine'a nie wiadomo tym nieukom, że dzieło artystyczne przybiera styl epoki, w której jest tworzone. Czyż za naszych czasów działo się cokolwiek tak, jak o tem się pisze? Ładnieby pan krytyk wyglądał, gdyby napisał tak, jak się coś działo, na co patrzył własnemi oczyma. Nie byłoby to, jak mówiło się dawniej, „czarno na białem”, lecz zupełnie... biało. Duch czasu obowiązuje sztukę“.

TREŚĆ:

Gdyby Kiliński żył *A. Doboszyńskiego.* — Naród historyczny *K. S. Fryca.* — Siła i prawo *B. Wasiutyńskiego* — W służbie Czarnego Orła *Wł. Jabłonowskiego.* — Na widowni *J. Rembielińskiego.* — Żydzi w P. P. S. w r. 1905 i 1906 *V-r.* — Nauka i literatura („Rewolucja w nauce") *M. N.* itd.) — Ze świata sztuki. *W. Podoskiego.* — Muzyka *W. Narusza.* — Film *Kandyda.* — Zmarli — Pokłosie *Argusa.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.